Królowa Niebios

LEGENDY LUDOWE
O
MATCE BOSKIEJ

Maryan Gawalewicz

Piotr Stachiewicz



KRÓLOWA NIEBIOS.

LEGENDY LUDOWE O MATCE BOSKIEJ.

APPROBATUR.

Varsaviae d. 5/17 m. Aprilis 1894 a.

Judex Surrogatus,
Canonicus Metropolitanus
R. Filochowski.

Secretarius
L. Poncwczyński.

Nr. 1688.

ОДОБРЕНО

Г. Варшава 5/17 Апрѣля 1894 г.

Судья Суррогатъ
Каноникъ Митрополитальнаго Капитула
Кс. Р. Филоховскій

Секретарь
Л. Поневчинскій.

MARYAN GAWALEWICZ i PIOTR STACHIEWICZ.

KRÓLOWA NIEBIOS.

LEGENDY O MATCE BOSKIEJ.

WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.
1894.

Дозволено цензурою,

Варшава, 22 Ноября 1893.

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem Jana Gadowskiego.

Córkom naszym.

OD AUTORA.

Są tematy, które same za siebie mówią, przy których autor nie potrzebuje się tłómaczyć: dlaczego je wybrał, dziwiąc się raczej samemu sobie, że tak późno wpadł na pomysł ich wyzyskania i dziwiąc się innym, że przed nim tego nie uczynili dawniej i lepiej.

Do tematów takich należały legendy o Matce Boskiej, które fantazya naszego ludu od wieków snuła i składała w arce przymierza między dawnemi a nowemi laty, obok »swych myśli przędzy i swych uczuć kwiatów«.

Schowane w tym skarbcu, migotały one tajemniczymi blaskami, świeciły jak robaczki świętojańskie, pachniały wonią leśnej konwalii i polnej macierzanki, a pod tą sielską prostotą ukrywały wspaniałość klejnotów, która dopraszała się wydobycia na pełne słońce, aby zagrać barwami tęczy i zapłonąć rumieńcem zorzy porannej.

Po raz pierwszy sięgnęła po nie do tej skarbnicy ręka artysty, który jedynie może z całego zastępu sztuce oddanych dziś talentów u nas, miał prawo i warunki po temu, aby je wydobyć

na jaw i ukazać w całej krasie i piękności, jak na to zasługiwały — a potem ze skarbca poezyi, przenieść je do skarbca sztuki.

Artystą tym powołanym i wybranym był Piotr Stachiewicz.

Kiedy przed kilku laty w pracowni jego zobaczyłem pierwsze szkice tych »Legend« rzucone na papier, powiał na mnie od razu jakby czar jakiś, wnikający do duszy coraz głębiej, im dłużej się w nie wpatrywałem i ogarniający mi serce coraz bardziej, im więcej rozmyślałem nad niemi.

Wówczas to powstał projekt złączenia wspólnej pracy około dzieła, w którem obaj — on pędzlem a ja piórem — chcieliśmy zebrać barwy i wonie z tych polnych kwiatów ludowego natchnienia, aby orzeźwić niemi serca, spragnione czyściejszych i idealniejszych wrażeń.

Trudność zadania nie polegała tylko w naturze samego tematu, ale i w zgromadzeniu rozproszonego materyału, który nie stanowił żadnej organicznej całości, leżał luźno w drobnych niekiedy okruchach, w pojedyńczych nitkach tej złotej przędzy, porozrywanej i pomieszanej z innemi, w świecących zaledwie pyłkach, które należało mozolnie wyszukiwać, zbierać i łączyć ze sobą.

Kilka lat własnych starań i wskazówki osób życzliwych a z przedmiotem danym obeznanych, jak Elizy Orzeszkowej, pp. Jana Karłowicza, S. Jastrzębowskiego i innych, którym tu wdzięczne należy się uznanie, pozwoliły wreszcie ogarnąć całość i skupić ją, jako surowy materyał, jako rudę przygotowaną dopiero do odlewu wymarzonej postaci »Królowej Niebios«, według tych form i kształtów, w jakich Ją sobie twórcza wyobraźnia ludu przedstawiła.

Podania, baśnie, legendy, pieśni, wszystko musiało być poznane, przejrzane, uwzględnione, aby z nich nie tylko zaczerpnąć motywów do tej pracy, ale i obeznać się z duchem, z tonem i nastrojem tej ludowej twórczości, nie chcąc wytworzyć z nim rozdźwięku i strzegąc się sfałszowania, wykoszlawienia, zepsucia obrabianego materyału.

W czasach bardzo chłodnego racyonalizmu i krańcowej trzeźwości pojęć jest to zapewne śmiałym i ryzykownym zamiarem wy-

stępować z dziełem na wskróś samą fantazyą natchnionem, naiwną wiarą prostaczków przeniknietem, a mającem na swoją obronę tylko samą poezyę przedmiotu, ale poezyę tak czystą, tak piękną, tak wiecznie świeżą, jak to powietrze kwietnych łąk i zielonych lasów, wśród których źródło jej wytrysło.

Umiłowanie i cześć dla tej poezyi, która jest wieczną a potężną czarodziejką, przypinającą skrzydła duszom ludzkim, gdy pragną wznieść się w sferę szlachetniejszych dążeń i podnioślejszych wrażeń, niech zatem tę śmiałość usprawiedliwi i zjedna wyrozumiałość dla niej nawet tych, którzy w literaturze i sztuce hołdują tylko nagiej, realnej prawdzie, — przez wzgląd, że piękno jest także prawdą...

Zapoznawszy się bliżej z całością wyobrażeń, — jakie lud nasz wyrobił sobie o Matce Boskiej poza samą religijną, kościelną, że tak powiem, dziedziną swoich wierzeń, na gruncie świeckim, li tylko samoistnem swojem natchnieniem, — zwróci się szczególniejszą uwagę na dwa charakterystyczne wnioski, które się same nastręczają: najpierw, że ta Panienka Przenajświętsza stała się dla niego wcielonym ideałem kobiecości, dobroci, wszelkich cnót i wszelkich wdzięków, do którego przylgnął nie samą wiarą tylko, ale i instyktem serca, jak do dobrego bóstwa opiekuńczego, w którem położył całe swe bezgraniczne zaufanie, któremu oddał cześć najgorętszą, które umiłował najbardziej ze wszystkich potęg ziemskich i niebieskich.

Niema tytułu tak dostojnego w ludzkiej hierarchii ani tak pochlebnego, któregoby Jej nie przyznał; niema tak lirycznego tonu, w którymby się do Niej nie odezwał, niema takiego blasku i takiej krasy, w któreby Jej nie ustroił.

Względem Niej jednej zatraca on nawet swoją rubaszność i pilnuje się, aby przy całem przywiązaniu i całej miłości nie spoufalił się z Nią zanadto, nie ubliżył Jej nawet bezwiednie porównaniem, zestawieniem, formą mniej szlachetną; nadając Jej wszystkie do szczytu podniesione cechy dodatnie natury ludzkiej, strzeże się od przydania choćby najniewinniejszej słabości ludzkiej, — ideali-

zuje Ją zawsze i wszędzie, trzymając pilnie na wodzy swą fantazyę i skłonność do realistycznego traktowania każdego przedmiotu.

Niema też w podaniach i legendach o Matce Boskiej ani jednego śladu tej niewinnej swobody lub naiwnego humoru, na jaki pozwala sobie niekiedy względem innych, dla wydobycia dosadniejszej charakterystyki lub silniejszego morału. Z tego nastroju szczerego, głębokiego pietyzmu nie wypada nigdy i Maryi Pannie nadaje zawsze majestat świętości, powagę macierzyństwa, urok dziewictwa, patetyczną wzniosłość bohaterki siedmiobolesnej albo liryzm cichej, łagodnej melancholii, — widzi Ją zawsze zadumaną lub bolejącą, rozmodloną lub stęsknioną, skromną nawet w blaskach i wspaniałościach królewskiej korony a zajętą li tylko troską o chwałę Syna Swego i dobro ludzi na ziemi a zbawienie ich dusz w niebie.

Sprawiedliwość, ład, porządek świata, dbałość o pożytek dla niego, miłosierdzie i pobłażliwość, rzecznictwo wszystkiego, co małe, bezbronne, opuszczone i pokrzywdzone mają w niej przedstawicielkę najgorliwszą, która jest jakby tylko samem sercem miłującem i współczującem ze wszystkiem, co tego godne.

Ten pierwiastek kobiecości i idealnej dobroci podniósł i uczcił lud w postaci Matki Boskiej tak wysoko a środkami tak prostymi, że się zdobył w tym względzie na mistrzowstwo w swoim rodzaju genialne.

Drugi wniosek, nasuwający się badaczom rzeczonych legend i podań dotyczy ich pochodzenia i genezy, któraby mogłaby być przedmiotem ciekawych a osobnych studyów.

»Wiadomo jest każdemu, — powiada jeden ze znawców i badaczy ludu naszego [1]) — zajmującemu się mitologią starożytnych Słowian i rozpatrującemu się w pozostałościach owych czasów, w podaniu i baśni ludowej, że lud dawne swoje pogańskie tradycye o bogach i boginiach, przeobraził z czasem na baśnie niby to chrze-

[1]) *Kornel Kozłowski:* »Lud, pieśni, podania, baśnie, zwyczaje i przesądy ludu z Mazowsza Czerskiego«. Warszawa, 1867, str. 386.

ścijańskie, nie zmieniając bynajmniej pierwotnego i bałwochwalczego wątku. Stąd powstały cudowne opowieści o Panu Jezusie, o Matce Boskiej, o św. Piotrze, o św. Mikołaju, których wyobraźnia ludowa podstawiła tradycyi w miejscu dawnych bogów i bogiń.

»Wiadomo jest między innemi, że dawne tychże wędrówki po świecie, lud przypisał później świętym chrześcijańskim; i tak właśnie rzecz się ma z wędrówką Matki Boskiej, która po różnych stronach u nas, według przekonania ludu, miała przebywać; chodził za nią w podróży tej podług jednych piesek, a powszechniej daleko lud utrzymuje, że kotek [1]).

»Znana jest baśń litewska o pewnej bogini Lajmie, opiekującej się płodami ziemskimi, która litując się nad pewną biedną kobietą, od myszy w dobytku swym napastowaną, z rękawka swojego stworzyła kotka. Gdy następnie Matka Najświętsza zajęła miejsce owej bogini Lajmy, przeto lud litewski od tego czasu nazywa kotkę rękawkiem Matki Boskiej.

»I u nas również coś podobnego z pewnością zdarzyć się musiało. Chrześcijaństwo nie mogło krzewić baśni o Panu Jezusie, siwym dziadku podróżującym po polach i lasach, wraz z św. Piotrem i narażonym na różne przypadki i przygody, — o św. Mikołaju otoczonym wilkami, przesiadującym po lasach i zamieniającym żarzące węgle na złoto, — o Matce Boskiej, mającej w niebie trzy pokoiki i trzymającej w nich cudowne jabłuszko, błąkającej się po lasach z kijkiem i kotkiem i zaglądającej czasami (w piątki) do wiejskich chałup; lud to pamiętał dzieje dawnych bogów i o nich dzisiaj prawi, a nawet co więcej, miejscami czci po nich pamiątki, okrywając je wiarą i mianem chrześcijańskiem.

»Byli niegdyś bogowie dobrzy i bogowie źli, — jedni poszli na świętych, drudzy zmienili się w dyabłów lub czarowników, — z da-

[1]) W pieczarach pod Straczem pokazują grotę, w której się Matka Boska przed Tatarami miała ukrywać podczas takich wędrówek swoich; w innem miejscu przechowują kamień, na którym znajdują się ślady stóp Panny Najśw., jej kijka, którym się podpierała i kotka, który z Nią chodził.

wnych pozostały jeszcze strzygi, upiory, zmory i t. p. Jak Pan Jezus zastąpić mógł dawnego Jesse, lub podług niektórych Radogosta, jak św. Piotr miał zastąpić Dadźboga, bóstwa dobra i wymierzające ludziom sprawiedliwość, karzące złych, — tak Matka Boska musiała także zastąpić boginię dobrą, szczególnie u ludu czczoną, niegdyś z nią przebywającą i która po wielu miejscach w kraju miała swoje świątynie...«

Zbadanie tych podobieństw wszelako może być tylko przedmiotem mitologii porównaczej, za mało dotąd niestety u nas rozwiniętej i rozpowszechnionej.

Zaznaczmy wszelako ten fakt znamienny przetwarzania się podań i wyobrażeń ludowych z czasów pogańskich, które niewątpliwie dostarczyły kanwy fantazyi ludu, na której powstawały duchem chrześcijanizmu natchnione obrazy, na dawnych motywach mitologicznych osnute; ale zauważmy i to, co nie ulega wątpliwości, iż w tym nowym duchu lud przystosowywał owe motywa do swoich wierzeń, pojęć, usposobień, ideałów i upodobań, — urabiał je na nowo inaczej, przekształcał i dotwarzał waryanty według własnej inwencyi, w wielu razach uszlachetniał, upiększał i umoralniał.

Religia chrześcijańska na idei miłości Boga i bliźnich oparta skierowała go też na szlaki idealniejsze a przez tę miłość właśnie rozgrzeszyć go trzeba z nadużyć, jakie popełnił w swojej fantazyjnej twórczości, gdy się poważył wbrew pismu i tradycyom przyswajać sobie i lokalizować pewne fakta, przenosząc np. stajenkę betlejemską do zagrody prostego kmiecia, u którego Matka Boska znajduje gościnę a w którego szopie Chrystus na świat przychodzi.

Dziwić się temu nie można, on tego Boga tak ukochał, tak w Niego uwierzył, tak bardzo z Nim się zespolić i do Niego zbliżyć zapragnął, że przez tę miłość i wiarę chciał go mieć pośród siebie, że z tą naiwną śmiałością dziecka sięgnął aż po żłobek, w którym leżało Boże Dziecię, co przyszło świat zbawić.

On przez wielką cześć dla Matki Zbawiciela swego, wytwarza sobie, a raczej przerabia niewiadomo skąd pochwycone podania

o owej mytycznej Lillith, pierwszej niewieście, stworzonej dla praojca rodu ludzkiego jeszcze przed Ewą i »Dziewicę z kwiatu« wyprowadza na świat, jako Bożą Rodzicielkę, aby Jej odwieczne pochodzenie i wzniosłą missyę odrodzenia kiedyś z grzechu całej ludzkości w taki sposób uświetnić.

On według swoich pojęć snuje kosmogoniczne fantazye i wszędzie dopatruje się celów powiększenia chwały Bożej, dla której powstało niebo, ziemia, słońce i gwiazdy.

On jest dzieckiem i filozofem, poetą i jasnowidzącym, mistykiem i prostaczkiem, który jak jedwabnik snuje z siebie nić poezyi i sam tka z niej jednocześnie wzorzyste pasma jakimś instynktem bezwiedniego geniuszu...

Zabrać od niego z całem poszanowaniem i ostrożnością tę odwieczną pracę jego ducha i serca, ułożyć ją tylko tak, aby nabrała pewnej artystycznej symetryi i uprzystępnić naszemu ogółowi — było zadaniem mozolnem wprawdzie, ale nader wdzięcznem; i o ile to leżało w siłach i możności mojej, podjąłem się zadania tego.

Starałem się tylko zgromadzony materyał uporządkować i ułożyć w mozaikę bardziej zaokrągloną, nadać jej całość organiczną, stonować barwy do właściwego kolorytu i ująć to wszystko w ramę artystycznego obrazu.

Na trzy działy główne pracę tę rozłożyłem, malując działalność i postać Matki Boskiej wiernie według pojęć i wyobrażeń ludu: »Na ziemi«, »W niebie« i »Z nieba« wpływem swym promieniejącą. Pod względem formy trzymałem się wzoru twórczości ludowej, przeplatając prozę dźwiękami rytmiki, nie unikając i rymu tam, gdzie się wyrazy same niemal w rym zwijały i gdzie sam przedmiot i nastrój do tego szczególniej się nadawał.

O ile zadaniu swemu podołałem — nie moją rzeczą sądzić, ale sowitą nagrodą będzie mi choćby najsłabsze drgnienie serca, w którem odezwie się echo tych głosów, jakie rozbrzmiewały mi w duszy przy pisaniu tej pracy.

M. G.

O, bo też wówczas ziemio staroświecka,
Dzisiejsze dziwy dziwami nie były,
Grały widomie niewidome siły
I pilnowały człowieka, jak dziecka...

S. G.

Fantazyo ludu, tyś jest czarodziejką!... masz oczy, które w niebo zaglądają i na wskróś ziemi widzą; masz usta, z których wykwitają pieśni proste, jak polne kwiaty, wonne i świeże, jak sama wiosna, a piękne, jak gwiazdy promieniste; masz usta, z których jak tęcza pełna barw i blasków snuje się baśń urocza, jakby ją natchniona dusza poety zrodziła; masz łzy ciężkie, jak perły i uśmiechy lekkie, jak motyle; ty masz naiwność dziecka, a przy niej rozum mędrca miewasz.

Fantazyo ludu, tyś błogosławioną, bo widzisz, słyszysz i rozumiesz więcej niekiedy z tajemnic wszechświata, niż trzeźwy umysł zbadać zdołał i dlatego nie dziwne tobie żadne dziwy ni cuda; masz serce maluczkich i wiarę prostaczków, przez którą wierzysz, że:

Wszystko to kiedyś szczerą prawdą było,
Zanim się z laty krwawą rdzą pokryło...

Wszystko dla ciebie gdzieś, niegdyś, onego czasu i jednego razu istniało, co tylko opowiadasz — niewyczerpana Szeherezado gminu, muzo wieczornic pod słomianą strzechą, towarzyszko prządek przy kominie, matek przy kolebkach, pasterzy przy ogniskach.

Fantazyo ludu, tyś jest żyzną rolą, w którą poezyi geniusz swe ziarna zasiewał...

O co cię spytać, na wszystko odpowiesz pieśnią, skazką, bajką, klechdą, legendą, przysłowiem, wszystko wiesz, wszystkoś na własne oczy widziała, wszędy byłaś, wszystkiegoś ciekawa.

W twojej skarbnicy nie brak najrzadszych klejnotów i bogactw masz tyle, że świat za nie można kupić cały, boś ty jedna w noc Świętojańską od wieków zrywała kwitnące paprocie, ty jedna z duchami masz układ odwieczny i znasz na nie skuteczne zaklęcia i masz je wszystkie z ciemnych głębin ziemi i morza, z przejrzystych Oceanów powietrza, z świetlanych przestworów nieba na każde zawołanie.

Czego oko nie widziało, czego ucho nie słyszało, ty w każdej chwili sczarować potrafisz potęgą swoją...

Fantazyo ludu, skrzydłami anioła tyś potrafiła wznieść się od ziemi do nieba, dostać się przed sam tron Przedwiecznego, spojrzeć olśnionem od światłości okiem na to, czego żaden śmiertelny nie oglądał i wrócić natchniona, aby ludziom na ziemi opowiadać cuda o niebie.

Tyś przedarła się przez sześć gajów liliowych, widziałaś w koronie z siedmiu gwiazd Dziewicę, co jest Matką Bożą; u stóp Jej przysiadłaś, jak wiejskie pachole na podnóżku Dziedziczki nieba wraz ze skowronkiem, co Jej piosnki nuci, i pokorna a zachwycona słuchałaś hymnu Serafów i Cherubów na cześć Jej śpiewanych.

Fantazyo ludu, prządko złotej przędzy podań i pieśni, oprzej twą kądziel o gwiazdę wieczorną i snuj nić nieskończoną, długą, jasną, błyszczącą na tle nieba, oplataj ją o serca ludzkie i podnoś je w górę... w górę... aż w błękity!

Fantazyo ludu, przemów, opowiadaj!... niech twój czarowny głos ukołysze do snów rozkosznych dusze, da im widzenia świetlane, niech twoje tchnienie wionie na nie, orzeźwi je, oczyści, rozpogodzi, jakąś nieziemską błogością napełni, aby choć na chwilę zapomniały o mrokach zaduchu, pospolitości i ciemnocie, w jakich codzienne życie je zamknęło.

Fantazyo ludu otwórz swą skarbnicę!...



NA ZIEMI.





rys. P. Stachiewicz — Meisenbach Riffarth & Co

DZIEWICA Z KWIATU

I.

Kiedy jeszcze oprócz nieba i wody nie było nic więcej na tym świecie — unosił się tylko Bóg nad wodami w przestrzeni pustej i ciemnej... Nie było ziemi, nie było gwiazd, nie było żywego stworzenia.

Wtedy wśród tej bezgranicznej, głuchej, ponurej pustki zabrzmiał głos Boga:

— Dyable spadnij na dno morskie i przynieś mi garść piasku!...

A zły duch przez ciekawość zapytał:

— Na co? — i czekał odpowiedzi, zanim w toń się pogrążył.

— Nie pytaj — rozległ się głos Stwórcy powtórnie — tylko idź na dno morskie, a biorąc piasek dłonią, rzeknij: »Pobłogosław mu Boże!« ...

Zakipiały wody i zasyczały, jakby w nie rozpalona głownia spadła, kiedy dyabeł zły i gniewny, że Bóg ma przed nim swoje tajemnice, rzucił się w głębiny morza.

Ale jakby na przekór Stwórcy wypłynął i znowu spytał:

— Na co ci tego piasku, Boże?...

— Idź i spełnij, com rozkazał! — surowiej zabrzmiał głos Pana.

Powtórnie zły stoczył się, jak lawina w morze, ale jeszcze roz-

kazu nie spełnił, jeszcze trawiony ciekawością wypłynął z tem samem pytaniem na powierzchnię wody.

Wtedy, Stwórca dobrotliwy ulitował się dyabłu i rzekł mu:

— Oto z piasku tego uczynię ziemię, a potem stworzę ludzi i ziemię tę im oddam na mieszkanie; wiesz teraz, na co mi piasku potrzeba, więc przynieś go co tchu z morskiego dna!

Dyabłu się ślepia zaiskrzyły, wśliznął się jak wąż w gładką cichą, snem odwiecznym śpiącą toń, po której rozlana toczyła się ciemność odwieczna i opadać zaczął coraz głębiej i głębiej, a po drodze myślał:

— Oszukam ja Boga, i ja będę miał swoją ziemię, i ja ją sobie stworzę; napcham piasku w zęby i za pazury, aby się nie spostrzegł, garść oddam Jemu, resztę wezmę sobie.

I tak uczynił.

Kiedy wypłynął z toni, miał paszczę zamkniętą, bo przemówić się obawiał, aby mu piasek z niej się nie wysypał i nie zdradził go przed Stwórcą; ale ślepia mu radością gorzały, bo zdawało mu się, iż podszedł Pana Boga i będzie miał swój osobny świat, swą własną ziemię, swoich własnych ludzi.

Pan Bóg wziął piasek z morskiego dna w swoje święte ręce, pobłogosławił i cisnął na powierzchnię wód; wtedy piaskowe ziarnka i grudki zaczęły rosnąć gwałtownie, łączyć się z sobą, spajać i powlokły morze ziemską skorupą.

Ale i w paszczy dyabła piasek zaczął pęcznieć i róść i przybierać, że omal nie zadławił złego i łba mu nie rozsadził; musiał tedy na gwałt wypluwać skradziony piasek i parskać, i krztusić się, a kędy splunął na wody, jeziora, trzęsawiska tem błotem, tam powstawały wyspy i kępy, na których po dziś dzień najchętniej jeszcze zły przemieszkiwa.

Kiedy tak już Pan Bóg ziemię miał gotową i niebo, wonczas pięknych nastwarzał aniołów, ale że się pychą uniosły i za bogów się same miały, strącił je za karę w przepaść, w którą czterdzieści dni i czterdzieści nocy spadały nieustannie z okropnym rykiem gniewu i rozpaczy.

A po upadku aniołów stworzył Bóg dopiero pierwszego człowieka Adama w Raju. Olbrzym to był i siłacz wielki, wielkolud taki, że niczem dlań było schwycić potężne drzewo rękoma i wyrwać je z korzeniami, jak marne źdźbło trawy.

Największe zwierzęta chodziły obok niego ze strachem i tylko z pode łba patrzały na takiego mocarza, któremu nic złego zrobić nie śmiały, bo był od nich silniejszy, a skórę całą miał twardą, rogową, nie do przebicia kłem ani pazurem.

Ale źle było człowiekowi samemu nawet w Raju...

Wtedy Pan Bóg postanowił mu dać towarzyszkę i tchnął na kwiaty rajskie, a z nich jak lilia czysta i biała, jak woń lekka i miła wionęła cudna z wejrzenia postać pierwszej niewiasty, stworzona z tego, co Raj miał najwdzięczniejszego, najczystszego, najpiękniejszego.

Dziewicę z kwiatu przyprowadził Bóg Adamowi.

I zrobiło się w Raju jeszcze jaśniej, gdy przechodziła, bo w dzień wszystkie gwiazdy wybiegły na niebo, ażeby ją zobaczyć; i zrobiło się jeszcze wonniej, bo ziemia dyszała z rozkoszy zapachami...

A co tylko dech miało i głosem władać mogło, od muszek brzęczących nad wodami, do powietrznych pieśniarzy skrzydlatych, wszystko to uderzyło w hymn na chwałę Boga i na cześć Dziewicy.

Tylko Adam jeden stał obojętny i nieczuły, bo za wątłą dlań była, za powiewną, za mglistą i obłoczną; nie wiedział coby począć miał z taką towarzyszką i jakby z nią do pary się nadał...

On ze skały kowany, ona z puchów kwiatu zdmuchnięta.

Poznał Bóg, że jego grubej naturze nie będzie odpowiednia taka niewiasta i że jej jeszcze nie godzien, więc Kwiat Dziewicę zabrał do siebie, a Adamowi utworzył inną, właściwszą dlań towarzyszkę, — taką samą, jak on, podobną doń z ciała i wyglądu, kość z jego kości, z żebra jego uczynioną Ewę.

I Adam po raz pierwszy się uśmiechnął, gdy ją zobaczył; uradował się myślą, iż nie będzie odtąd samotny, że ma na podobieństwo swoje istotę drugą, z którą podzieli cały Raj na wieczność i żywot cały.

Bóg zaś Kwiat Dziewicę zachował w swej krasie i czystości niepokalaną i przeznaczył jej inny cel, — dał ją później za Matkę Synowi Swemu.

Ona jedna przepiękna i przeczysta pozostać miała w Raju, aż do czasu, gdy ród ludzki grzechem pierwszego człowieka napiętnowany, skazany na trud, na znój, na umieranie, zapotrzebuje odkupienia, aby wtedy z Dziewicy urodził się Syn Boży i zeszedł na ziemię i drzewem krzyża podparł upadającą ludzkość...

Przez Ewę Adamową wąż złego poczołgał się z Raju za człowiekiem na ziemię, — przez Maryę Chrystusową zdeptany został w proch Jej dziewiczą stopą.

Z gliny i kości powstała matka rodu ludzkiego, z rajskiego kwiatu powstała Matka Boga-Człowieka i jak woń kwietna wionął z Niej duch odrodzenia po świecie, po więdnących duszach na śmierć doczesną skazanej ludzkości...

Za matką Kaina zeszła po wiekach Matka Chrystusa na ziemski padół i przy ofiarniczym ołtarzu Abla, stanął męczeński krzyż odkupienia.

II.

Kiedy się Adam z Ewą przechadzał po Raju — w niebie zaszły zdarzenia godne uwagi.

Książe ciemności z coraz większą zawiścią spoglądał na dzieła i twory Boga-Ojca, Boga światła, piękna i dobroci; drażnił go i w gniew wprowadzał widok prawej małżonki Adama. Przemyśliwał nad tem, aby zgubić pierwszą niewiastę, a z nią cały ród ludzki, którego matką być miała.

Bóg mu rzekł:

— Nie tylko Ewę stworzyłem, aby zaludniła świat, ale i drugą niewiastę, której pokłoni się ziemia cała i niebo, bo urodzi Boga-Człowieka, Syna mego!...

Na tę zapowiedź książe ciemności zadrżał i podniósł bunt; uniósł się dumą i zawołał:

— Ja miałbym się ukorzyć i kłaniać słabej niewieście i uznać ją za rodzicielkę Bożą — przenigdy!... jam silniejszy w ciemnościach nocy od światła Twego i co ty uczynisz — ja zniweczę. Jam siła, jam bunt!...

Zwołał do siebie wszystkich aniołów z lewicy i wytoczył wojnę Bogu Ojcu.

Skrzydlate kohorty wiódł z jednej strony archanioł Michał, z drugiej Lucyper i niebiosa zawrzały po raz pierwszy straszliwą walką.

Światłość z ciemnością poszły w zapasy, dwie potęgi zmierzyły się z sobą, a na ich czele dwaj wodzowie nacierali na siebie mieczami, od których błysku łuna padała na całe niebo, a od szczęku gromy wstrząsały ziemią całą.

Zwycięstwo chwiało się wciąż między obu stronami...

Archanioł Michał widząc, że może przeciwnika nie zwalczyć, zawołał:

— Boże wesprzyj, bo nie pokonam! — a Bóg na to:

— Uderz na odlew, na krzyż!...

I kiedy krzyżem miecz Archanioła błysnął w powietrzu, odpadły Lucyperowi przecięte skrzydła, a on sam runął z niebieskich wyżyn w przepaść; — za nim w popłochu kohorty ciemnych duchów zciekały na dół, na dół, jak krople deszczu w bezdeń, która zmieniła się w piekielne moczary.

Na wysokościach w blaskach zorzy, gwiazd i słońca wschodzącego jaśniał na wieki tryumfujący Pan nieba i ziemi w swojej chwale, pokonawszy wrogów światła, dobra, piękna i niewiasty przeczystej, co miała zostać Matką Boga-Człowieka...

A wzburzone niebiosa i gwiazdy drżące i hufce anielskiego rycerstwa zabrzmiały wielką harmonią pokoju i wesela, że światło odtąd zawsze panować ma nad ciemnością i dzień iść z góry a noc z dołu.

III.

Nadszedł nareszcie czas, w którym Pan Bóg Dziewicę z rajskiego kwiatu na ziemię zesłał, aby swój żywot doczesny rozpoczęła i aby się wypełniła Jego obietnica co do odkupienia rodzaju ludzkiego.

W królewskiem pokoleniu Dawida zakwitła liliadziewica, której anioł zwiastował, że ma być matką Zbawiciela, Syna Bożego, a ona z pokorą zwiesiła głowę i szepnęła:

— Otom ja służebnica Pana mego, niech mi się stanie według słowa twego!...

I stało się woli Bożej zadość — niech będzie imię Jego pochwalone!...

Dziewica z kwiatu zeszła na ziemię, jako Marya, druga Ewa ludzkości, która przyszła grzech zmazać poprzedniczki swojej, naprawić zło i zostać Matką Odkupiciela pokutujących plemion Adamowych, odrodzić je z ducha przez syna Swego i otworzyć im znowu drogę do utraconego Raju.

IV.

Chodziła Panna Najświętsza po świecie, aż kiedyś zaszła do chaty ubogiego kmiotka i w kmiecej chacie prosiła o nocleg, bo indziej miejsca dla siebie nie miała.

Psy wiejskie spotkały ją na drodze i poklękały przed Nią, zamiast ujadać; poznały Panią z niebieskiego dwora, ale chłopek nie poznał, jakiego gościa ma pod swoją strzechą, więc jął się wymawiać, że noclegu dać nie może, bo chałupę ma ciasną, a dzieci dużo, miejsca brak...

— Moja śliczna pani, — rzeknie do Niej w końcu — zajdź chyba do mojej szopy, tam przenocujesz spokojnie; w chacie nie mam kędy dać tobie noclegu.

O drugiej po północy wielka jasność nagle go zbudziła; wyjrzy na dwór, a tam nad szopą jego świeci gwiazda, ze wszystkich najjaśniejsza, a rój aniołów złotopiórych spadł na słomianą strzechę i jak stado gołębi kołuje nad nią i śpiewa, i raduje się, i wesoło głosi, że panna powiła syna, z którego będzie: »chwała Bogu na wysokościach, a pokój ludziom dobrej woli na ziemi!...«

Wtedy kmieć ręce załamał zlękniony i biadać zaczął, i wyrzekać:



IV.

Chodziła Panna Najświętsza po świecie, aż kiedyś zaszła do chaty ubogiego kmiotka i w kmiecej chacie prosiła o nocleg, bo indziej miejsca dla siebie nie miała.

Psy wiejskie spotkały ją na drodze i poklękały przed Nią, zamiast ujadać, poznały Panią z niebieskiego dwora, ale chłopek nie poznał, jakiego gościa ma pod swoją strzechą, więc jął się wymawiać, że noclegu dać nie może, bo chałupę ma ciasną, a dzieci dużo, miejsca brak...

— Moja śliczna pani, — rzeknie do Niej w końcu — zajdź chyba do mojej szopy, tam przenocujesz spokojnie; w chacie nie mam kędy dać tobie noclegu.

O drugiej po północy wielka jasność nagle go zbudziła; wyjrzy na dwór, a tam nad szopą jego świeci gwiazda, ze wszystkich najjaśniejsza, a rój aniołów złotopiórych spadł na słomianą strzechę i jak stado gołębi kołuje nad nią i śpiewa, i raduje się, i wesoło głosi, że panna powiła syna, z którego będzie chwała Bogu na wysokościach, a pokój ludziom dobrej woli na ziemi...

Wtedy kmieć ręce załamał, zlękniony, i biadać zaczął, i wyrzekać:



mal. P. Stachiewicz. Meisenbach Riffarth & Co.

W STAJENCE.

— Wolałbym leżeć z dziatkami pod progiem, a Tobie Boża Panno odstąpić chatę całą, żebym był wiedział, coś za jedna! — żebym był wiedział!...

W szopie zaś Jezus malusieńki drży od zimna a Matka rąbek z głowy zdejmuje na pieluszkę dla niego, garstkę ziół pod kolanka mu kładzie, słomą go okrywa i do snu kołysze piosenką: »Lulajże Jezuniu, lulajże, lulaj!...« I nie chce posługi aniołów, których trzydzieści tysięcy gotowych czeka na Jej jedno skinienie, jeno sama się krząta około Dzieciątteczka, bo żaden anioł matki nie zastąpi. A wieść o Narodzeniu Bożem najsampierw leci do ubogich, do prostaczków, do pastuszków pod lasem i budzi ich ze snu i wzywa, aby pierwsi bieżali witać Pana z nieba wysokiego, w żłobie złożonego na sianku, w ubóstwie wielkiem, skromniuteńkiego, jak polny kwiatek, choć cały świat jest Jego dziedzictwem.

Z hymnem aniołów, z kołysanką Bożej Matki, mieszają się głosy pastuszków; małej Dziecinie na multankach grają i rozmaite figle stroją, aby Pacholątko Boże zabawę miało; skromne dary szczerem sercem niosą i proszą o przyjęcie, a w żłobku śliczny Jezus przygląda się temu i wdzięcznie się uśmiecha, i rączkę ku nim podnosi, jakby błogosławił.

Najświętsza krząta się w ubogiej szopie, pełnej niebieskich świateł i ziemskiego gwaru i dobrotliwie, i pobłażliwie zachęca do wesołości pastuszków, co z pokłonem pierwsi do Syna Jej przybieżali.

I rojno, i gwarno, i wesoło było około kolebki Jezusowej, jakby się z nieba jasność i błogość wieczna wylały na ziemię...

A kmieć, co Bogu dał w szopie gościnę, prosty kmieć, kowal wioskowy z zawodu, cudem wynagrodzony był za nocleg owy; miał córkę, dziewczę miłe, ale kalekie, co się bez rąk urodziło i marny żywot wieść musiało. Ono dziewczątko pod szopę się skradło, między anioły i pastuszki z kolendą, modre oczki miłosiernie na Jezusa zwróciło i stało pokorne, nieśmiałe i dziwiło się temu, co widziało. Więc Marya Panna, gdy kowalątko kalekie ujrzała, litością zjęta rzecze do córki kmiecej:

— A podaj-no mi dziecko moje ze żłobu!...

Wtedy dziewczynie łzy stanęły w oczach, przystąpiła bliżej ze smutkiem, i z żałością wielką odezwała się:

— Jakoż ja niegodna podam, kiedym bez rąk?

— Sięgnij tylko, biedoto!...

A ta sięgła i nagle urosły jej ręce, któremi Jezusa Matce mogła podać, więc jej dusza szczęściem wezbrała i zaczęła tą parą rąk urosłych w powietrzu machać, jak dwoma gałązkami świeżemi młoda brzózka na wiosnę, i śmiała się, i płakała, i biegła do chaty, wołając:

— Oto mam ręce swoje, mam się czem modlić i czem pracować!...

V.

Przed siepaczami króla Heroda święta Rodzina kryje się w lasy i ucieka do Egiptu; idą ciemnym, gęstym borem, szukając drogi i schronienia, a jęki mordowanych niemowląt lecą za nimi, jakby ze skargą na okrutnika i z wołaniem o pomoc. Serce Maryi Panny drży od strachu, lica Jej pobladły, jak księżyc na młodziku; tuli do łona swoją Dziecinę i okrywa Ją płaszczem, aby nawet noc czarna nie zajrzała Jezusowi w oczy.

Ale głodne Dzieciątko kwili i pożywienia żąda, a w głuchym borze żałosny płacz się rozlega.

Stare drzewa pochylają się litośnie, jakby szemrały: »Cyt, cyt, Dziecino!« W zielonych oczach błyszczą im łzy rosy, współczucia łzy nad głodnym Jezusem.

Przy ziemi paproć czepia się nóg Maryi Panny i nieśmiało prosi:

— Pozwól mi posilić Dzieciątko Twoje, Święta Boża Rodzicielko!

— A cóż ty masz za pożywienie?

— Korzonki mam, którymi sama życie czerpię z ziemi.

Rozrzewniła Maryę Pannę ta skromna ofiara i przyjęła ją, aby czemkolwiek nakarmić zgłodniałą Dziecinę.

Pan Jezus za to, że ssał korzonki paproci, pobłogosławił litościwą roślinę i odtąd korzeń jej utracił dawną gorycz, a człek zbłąkany w lasach i zgłodniały, może w niej znaleźć pożywienie i posiłek i od głodowej uchronić się śmierci, zanim go Pan Bóg z puszczy nie wyprowadzi...

Ze świtem Rodzina św. w dalszą znów szła drogę, aby umknąć przed siepaczami Heroda.

Maryi Pannie ciężko było dźwigać bez ustanku Jezusa, ale rozstać się z nim ani na chwilę nie chciała, by skarbu macierzyństwa Swego z rąk nie wypuścić, póki na miejsce bezpieczne nie zdążą.

Próbowała na chwilę odpocząć i ukryć się pod osiką, ale niedobra drzewina nie chciała dać Jej schronienia.

— Boję się — wołała, drżąc ze strachu — aby mnie król Herod nie kazał ściąć za to, żem was ukrywała; boję się zemsty króla Heroda!... Idźcie stąd, wstańcie, pójdźcie gdzieindziej!... boję się!...

I trzepotała gałązkami, listeczki jej pobladły i odstawały, jak włosy na głowie człowieka, z wielkiej trwogi i przerażenia; więc Marya Panna musiała wstać z pod osiki i pobiegła skryć się pod leszczyną.

— A ty się nie będziesz bała Heroda?... — spytała i jak spłoszona przepiórka przypadła pod krzak leszczyny, ale ta zamiast odpowiedzi nakryła ich swemi gałązkami, otuliła swym gęstym płaszczem z listeczków drobniutkich i dech w sobie zaparła.

Musiałby był król Herod mieczem wpierw rozrąbać jej ramiona, gdyby chciał z objęć leszczyny wydobyć Bożą Matkę z Dzieciątkiem, ale król okrutnik przeszedł mimo i nie dojrzał niczego; nawet nie zauważył osiki, która trzęsła się ze strachu i którą taki lęk okrutny przejął, że nie umiałaby była dać odpowiedzi na zapytanie, czy widziała ściganą niewiastę z dzieckiem małem u łona.

W leszczynie jednak siedziała kukułka — zdrajczyni i chcąc się przypochlebić Herodowi, zaczęła wołać: »Kuku — kuku!...« aby zwrócić jego uwagę na kryjówkę Matki Bożej.

Za to złe serce jest ptakiem bez gniazda i nie ma gdzie własnych ukrywać piskląt, a osika, że się bała dać schronienie Maryi Pannie, musi po wieki trząść się ze strachu i dygotać listkami, choćby największa była cisza w powietrzu i najjaśniejsza pogoda na niebie.

Nie dosyć tego; zhańbił ją jeszcze Judasz później, gdy się na niej obwiesił i za karę, że Jezusa przyjąć pod swój cień nie chciała, musiała dźwigać największego zdrajcę i najpodlejszego wisielca na ziemi.

Leszczyna zaś w nagrodę została błogosławioną krzewiną: odtąd grom w nią nigdy nie uderza i człowiek podczas burzy może śmiało szukać pod nią schronienia, z imieniem Maryi i Jezusa na ustach, bo ona odtąd w łaskach Maryi Panny.

VI.

Był w ciemnym borze srogi zbój, co napadał ludzi po drogach, mordował i ograbiał.

Tędy wypadło Rodzinie świętej do Egiptu uciekać.

Ale bór ciemny ze zbójecką zasadzką strachem ich przejmował; wiodły przezeń dwie drogi: jedna na prawo, druga na lewo. Na prawo droga prowadziła przez gęstą olszynę, obok mieszkania zbója, na lewo przez chaszcze i wertepy, w których łatwo było zabłądzić.

Święty Józef i Marya Panna z Jezusem zdali się na wolę Bożą, nabrali otuchy i puścili się w gąszcz.

W lesie zmrok już zapadał, chłodne opary z ziemi podnosić się już zaczynały. Boże dziecię przeziębło i żałośliwie popłakiwało u matczynej piersi.

Usiadła tedy Marya Panna pod drzewem, aby nakarmić Jezusa, a przytem kilka kropel pokarmu spadło na oset, co wyrastał u Jej kolan i z tego mu na listkach białe plamki pozostały, aby był naznaczony, jako jest osetkiem Najśw. Panny.

Zciemniało się coraz bardziej i bardziej, a wśród boru straszno było nocować.

Zbój, co na podróżnych przy drodze czatował, usłyszał głosy ludzkie w gęstwinie i skierował się w tę stronę, jak zwierz drapieżny skradając się chyłkiem.

Myślał, że przyjdzie mu mordować.

Aż oto poczuł, że mu na ramieniu maczuga, od nasiąkłej krwi aż czerwona, dziwnie ociężała, tak, iż ją udźwignąć ledwie zdołał.

Spojrzy przed się, a tu w oczach mu nagle zaświeciło; spojrzy znów i widzi najwyraźniej trzy księżyce nad owem miejscem, gdzie Rodzina święta spoczywała.

Dojrzał w gęstwinie Maryę Pannę z Dzieciną i Józefem, skulonych od chłodu i deszczem zmoczonych na słocie.

Zamierzał spytać: skąd się tu wzięli i dokąd chcą?... ale mu wargi zdrętwiały, nieswojsko mu się zrobiło, mruczał jeno, jak dziki zwierz, zaskoczony niespodzianie w ostępach i kroku ruszyć nie śmiał dalej.

Schwyciła go moc jakaś niewidzialna i wcisnęła w ziemię, aby tak stał w odległości od Dziecięcia Bożego, jako zbrodniarz niegodny zbliżyć się do świętego Majestatu...

Rozumiał tedy, że mu się tknąć ani niewiasty, ani dziecka, ani starca nie godzi, bo coś zaporą między nim a nimi stanęło — i te trzy księżyce nad ich głowami ostrzegały go, że nie zwyczajni ludzie są, przeciw którym maczuga jego nic nie poradzi.

Srogość go zwykła ominęła, choć ponuro spoglądał, jakby się własnej niemocy sromał.

— Jakżeż w boru na słocie takiej noclegu szukacie? — spytał wreszcie, grubego głosu dobywszy z piersi — oto tam dom mój przy drodze za olszyną. Wejdźcie i zanocujcie...

Weszła tedy pod dach zbójeckiej zagrody Najśw. Panna z Jezusem i Józefem świętym, a żona zbója powitała ich zalękniona, ale gościny nie odmówiła.

Widok dziecka przy piersi zjął ją litością, bo sama matką była; rozumiała, że mąż jej umyślnie tę trójcę z boru w dom na-

słał, aby wszystko troje uśmiercić w sposobnej chwili, rzekła tedy z dobrego serca:

— Spieszcie się moi ludzie, póki czas i niechajcie noclegu w tem miejscu!... Jam jest zbójnichą, a mąż mój śmierć wam niechybną zgotuje, gdy z lasu wróci!...

Ale Najśw. Panna ją uspokoiła, żeby próżnej obawy o nich nie miała, bo Bóg z nimi. Przed pójściem spać wzięła się jeszcze do wykąpania Jezusa w wanience na zapiecku, a widząc zbójnichę, że spogląda jakoś żałośnie na dziecko swoje w kolebce, rzekła do niej, by swego małego także w kąpiel włożyła.

— Jakżeż to uczynię, — odpowie na to Najśw. Pannie — kiedy synaczek mój trąd ma na całem ciele?... Nie godzi go się kąpać razem ze zdrową dzieciną.

Matka Boska kazała jednak podać sobie zwrzodziałe zbójątko i własnemi rękoma w kąpiel go zanurzyła obok Jezusa swego, a gdzie jeno ciało woda oblała, tam w oczach znikał brzydki trąd i rany wygojone się zabliźniały. Poznał zbójca, że to cud i sumienie w nim odtajało; chciał złotem i srebrem płacić za takie uzdrowienie, chciał dziękować ze łzami, lecz się spostrzegł nareszcie, że te wszystkie skarby świata są marnością tylko i że trzeba wypłacić się Bogu inaczej, skruszoną duszę z plam oczyścić i ofiarować ją temu Dzieciąteczku, które przyszło z trądu grzechów ludzkich świat oswobodzić.

Tak też postanowił uczynić i pokutę rozpocząć ślubował.

Pan Jezus zaś na ręku Maryi Panny przemówił w te słowa do nowonarodzonego zbójątka:

— Jakośmy się kąpali razem, tak kiedyś razem pomrzemy!

I stało się tak, — bo syn zbójcy nie poszedł za przykładem nawróconego ojca, jeno dorósłszy z łotrzykami się wdawał, niepomny nauk i przestróg rodzicielskich.

W jednym czasie za zbrodnie swoje z Chrystusem pojmany był i ukrzyżowany na Golgocie.

On to z krzyża przemówił, patrząc na Chrystusa:

— Ten człowiek niewinny! — na co łotr po lewicy odmruknął:

— Musi być winny, skoro go wieszają.

Pan Jezus obrócił wówczas głowę ku synowi zbója i rzekł mu:

— »Zaprawdę, dziś jeszcze będziesz ze mną w niebie«.

Ze wspólnej ich kąpiółki, która wonności przedziwnej nabrała, pozostało jednak wspomnienie takie: oto w ogródku, kędy zbójnicha ją wylała drugiego dnia, wyrosły pachnące zioła, a z tych ziół następnie trzy Marye zrobiły maście do namaszczenia ciała Chrystusowego po zdjęciu z krzyża, przed złożeniem do grobu.

VII.

Udało się Maryi Pannie przemknąć przez bór i z rąk zbójeckich ujść cało; wyszła na pole pokrajane miedzą, pokarbowane w skiby, świeżo zorane, a puste jeszcze i nawet runią nie zieleniejące.

Jak tu się skryć, kędy uciekać przed pogonią?... dokąd kroki swoje skierować, gdy kaci tuż, tuż z mieczami, krwią niemowląt zbroczonymi, pędzą i ścigają Bożą Dziecinę, aby i ona rzezi srogiej nie uszła?...

Po świeżej roli idzie Marya Panna z dzieckiem na ręku, a przy Niej Józef; potykają się o bruzdy, ale idą, aby dalej, aby śpieszniej!... Tchu im w piersiach braknie, jednak nie ustają, bo groza za nimi; król Herod ściga.

Dopadli do miedzy a za miedzą chłopek pszenicę sieje.

— Pomaga Bóg, miły chłopku! — woła Najświętsza Panna.

— Daj Panie Boże, krasna pani! — odrzeknie siewacz.

— Dziś pszeniczkę siejesz, jutro ją żąć będziesz, — mówi doń znowu, a on:

— Szczęśliwaś-by ty pani była, żeby się pszeniczka jutro żąć godziła.

Więc Marya Panna Jezusa Józefowi na ręce składa, sama się płachtą przepasuje i idzie rolą wzdłuż bruzd zoranych; — drobną rączyną drobne ziarno sieje a kędy tylko garść zboża rzuci, wytryskują z ziemi strumienie kłosów i falować zaczynają i pszenica wyrasta, jak las. Zasiała tak całe pole daleko, daleko aż po sam kraniec gruntu i wróciła.

— Dziś jeszcze będziesz żął! — powiada z uśmiechem, bierze Dzieciątko Swoje na rękę i odchodzi ścieżyną ku siołu, a chłopek to na cudowne zboże pogląda, to na tych troje, którym ziemia posłuszniejsza, niż samemu słońcu, to ku niebu patrzy, czy zeń aniołowie nie zlatują i zrozumieć nic nie może, tylko się dziwuje: sen to, czy jawa?...

Aż nareszcie, jakby mu się rozwidniło w głowie, kolanami do ziemi przypada, w grzeszne piersi pięścią łomocze, czołem o ziemię uderza i tylko jedno słowo z głębi duszy powtarza:

— Pochwalony!... pochwalony!... — pochwalony!...

I żął dnia tego, jak mu Najświętsza obiecała, ale gdy sierpem pszenicę zagarnął, od lasu drogą królewskie zbiry wypadły z hałasem.

— Hej, hola chłopie! — hukają nań groźnie — czy nie szła tędy niewiasta z dzieckiem na ręku i ze starowiną samotrzeć?...

— Szła — mówi żeniec.

— A kiedy, kiedy? — dopytują.

— A wtedy, kiedym tę pszeniczkę siał.

— Wtedy jeszcze, a teraz już dostałą żniesz?... to i ścigać ich dalej próżny trud!...

Wrócili z niczem, straciwszy nadzieję, by zdołali dopędzić zbiegów, a Rodzina św. była już daleko, daleko... i Bóg ją dalej bezpiecznie prowadził.

VIII.

Wypiękniało na świecie, gdy się Pan Jezus narodził; wszystkie sady białym kwiatem się pokryły, wszystkie łąki zapachniały z radości i wesela, cała natura odmłodniała, a po ludzkich sercach powiał wietrzyk ożywczy. Matka Boska z Panem Jezusem po świecie chodziła, prowadziła go za rączkę na łąki kwitnące i zrywała Mu polne kwiaty do zabawy; chodziła z Nim po ludzkich zagrodach i zaglądała do chat wieśniaczych, do pastuszków i pokazywała Mu, co ludzie robią, jak żyją, jak pracują; chodziła z nim do kościoła na jutrznię, na wielką mszę co niedziela i uczyła Go rączki małe składać i modlić się do Boga Ojca.

A kiedy do kościoła szli, to na cześć ich wrota kościelne same się przed nimi otwierały, dzwony same dzwonić zaczynały, świece na ołtarzach same się zapalały, księgi same się rozkładały, a msze same się odprawiały, bo w małym Jezusie Boże Dziecię poznawały.

A kiedy Jezus dorastał, to Go Matka pracować uczyła, aby po próżnicy czasu nie tracił.

I widzieli ludzie na polu za pługiem Jezusa Pana; złoty pług w cztery konie zaprzężony był, a na jednym koniu siodło leżało, a na siodle Pan Jezus siedział i orał rolę, jak prosty kmieć.

O południu Matka spracowanemu Synaczkowi śniadanie na pole wynosiła i kiedy wypoczywał, ocierała mu dłonią uznojone czoło i rozmawiała, jak dobra gospodyni z Nim i naradzała się: »Cóż będziemy siali na tej świętej roli?...« A półkopków trzysta stawało w żniwa na jednem stajaniu, aby dobrym ludziom chleba nie zabrakło, skoro Pan Jezus sam na nich w pocie czoła swego pracował.

Ale że ludzie, jak to ludzie, chleba nie szanowali, bo gdy go zadużo mieli, miotły sobie z kłosów robić poczęli i marnowali dary Boże, więc im ziemia tyle rodzić przestała; stało się to zaś z takiej przyczyny:

Raz Pan Jezus z Matką szli drogą w upalny dzień, a pić im się chciało — i głodni byli, że ledwo wytrzymać mogli; napotkali chałupę z kraju wsi, więc Pan Jezus rzecze do Matki:

— Matuchno, wejdźmy do tej chałupy; napijmy się wody i poprośmy chleba.

A Matka Boska na to:

— Dobrze mój synku, zobaczymy też, czy tu ludzie są uczynni i miłosierni.

Weszli do chaty i trafili na złą gospodynię, co wykrzykiwała i pomstowała na dziecko, że płakało; zobaczyli, jak piekąc chleb właśnie, chwyciła z pieca podpłomyk i cisnęła nim na płaczące dziecię, a Matce Boskiej odfuknęła z gniewem:

— Niema tu chleba dla dziadów!... a choćby był, to nie dla was... Wynoście się z chałupy!... nie stójcie po próżnicy!

Najświętsza Panna rozżaliła się bardzo, a Pan Jezus rozgniewał i kazał, aby odtąd zboże tyle ziarna, co dawniej nie dawało; więc skurczyły się kłosy i zmalały przez jedną niedobrą niewiastę twardego serca.

IX.

Dawniej, wiele dawniej, gdy jeszcze żyło pokolenie wielkoludów na ziemi i bywało że chłop chłopu mógł z jednej góry na drugą podać siekierę, wszystko też rozrosłe było inaczej, więc i zboże wschodziło gęste i wysokie, jak las, a kłosy żyta od samej ziemi po czubek sam pełne były ziarna.

Ale ludziska się psuli i wyczerpywali zanadto cierpliwość Bożą; rozzuchwalili się tak, że trudno już było Panu Bogu z nimi wytrzymać.

Nijakiego upamiętania nie mieli i broili coraz gorzej, a Pan Bóg patrzał, patrzał i czekał końca, aż mu się to wszystko uprzykrzyło nareszcie; zabrakło Bogu świętej cierpliwości i postanowił wygubić całe ludzkie plemię, skoro niegodne było łask Jego.

Uderzył w chmurę z gniewem i rozsypał ją na taki deszcz, co spadał na ziemię, jak paciorki z pękniętego różańca, ciągle, jednostajnie, bez końca, przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy.

A było to czasu żniw samych, kiedy wszystkie pola dostałem zbożem falowały i prosiły się, jak złote owce w upał letni, by z nich to runo gęste sierpem zdjąć i ulżyć im od ciężaru chleba, który dla człeka dźwigały.

Z upustów niebieskich wszelako lało i lało strumieniami na ziemię, wzbierały rzeki, stawy, przerywały się groble, występowala woda wszędy i powodzie rozlewały się na zbożne łany, na pola, na pastwiska, zatapiając wszędy chleb dla ludzi, paszę dla bydła. Wielki strach padł tedy na wszystko, co żyło; sumienie ludzkie zadrżało i zlękło się okrutnie, widząc, że to nieprawości, i grzechy, i zbrodnie człowieka taką zagubę sprowadziły na ziemię. Pan Bóg patrzał z nieba groźnem okiem i pilnował, żeby wody zalewały wszystko dokoła bez litości i w zatopionych nizinach niszczyły na wieki wieków wszelkie urodzaje, aby jednego ziarnka na nasienie nie zostało nigdzie, — ani jednego!

I byłby wówczas świat przepadł bez ratunku, a ludzie bez chleba zmarnieli, jak komary na ulewie, ale z Nieba patrzała też za Panem Bogiem Najświętsza Panna i serce Jej się z żalu ściskało, widząc tę ziemię na taką zagładę i wymarcie skazaną; więc zaczęła prosić z początku nieśmiało, potem coraz goręcej, coraz usilniej Boga Ojca, aby już tę resztę kary grzesznym ludziom przepuścił i ulitował się nad ich niedolą.

A prosząc tak i modląc się za nich, spłynęła z deszczem na zalane pola, po których z pluskiem przewalała się woda, a z wody, jak główki topielców wystawały czubki już tylko pełnych kłosów, chwiejąc się na wsze strony, jakby się chciały korzonkami wyrwać z ziemi i spłynąć na pagórki.

Wówczas Panna Najświętsza unosząc się nad powodzią, schwyciła ręką kłos taki i z płaczem błagalne oczy podniosła ku Bogu Ojcu na niebie i zawołała:

— Choć tyla, choć tyla zostaw im Panie Boże!...

I Pan Bóg, który Matce Syna Swego nie mógł niczego odmówić, skinął ręką a niebieskie chmury zamknęły się odrazu, ulewa ustała, niebo się wypogodziło, wody opadać zaczęły, a z pod nich zamokłe, obłuskane z ziarna i połamane źdźbła zboża na polach znowu ku słońcu wyjrzały, ale już na nich zamiast kłosu od samej ziemi pełnego, zostało tylko tyle, ile się w drobnej garści Najświętszej Panny zmieściło.

Tą resztką uratowaną tylko przez miłosierdzie i litość Matki Boskiej, miał się już człowiek żywić po wsze czasy i to mu musiało starczyć na chleb i na zasiew, a na pamiątkę komu swe życie i kęs chleba miał zawdzięczać, w każdem ziarnku pszenicy pozostał maluteńki wizerunek Maryi Panny łaskawej, jakby święta pieczątka Bogarodzicy.



Tą resztką uratowaną tylko przez miłosierdzie i litość Matki Boskiej, miał się już człowiek żywić po wszę czasy i to mu musiał starczyć na chleb i na zasiew, a na pamiątkę komu swe życie i kęs chleba miał zawdzięczać, w każdem ziarnku pszenicy pozostał maluteńki wizerunek Maryi Panny łaskawej, jakby święta pieczątka Bogarodzicy.



mal. P. Stachowicz — Meisenbach Riffarth & Co

W UCIECZCE DO EGIPTU

X.

Było to dawno, wtedy jeszcze, kiedy węże nie pełzały na brzuchu, tylko nogi miały i biegać mogły po ziemi, a zły duch się w nie przebierał niekiedy, gdy na ludzką szkodę czatował.

Raz kiedy Najświętsza Panna szła lasem zamyślona o Swoim Synaczku, z za drzewa nagle wyskoczył wąż taki i przestraszył Ją, że się Jej wszystkie święte myśli rozsypały, więc zawołała:

— A ty gadzie szkaradny!... za to, żeś mię przeraził, snuj-że się odtąd, jak nitka po ziemi!

I padalcowi nogi odpadły zaraz, począł pełzać i piersiami w prochu legnął, a od owego czasu ma wielki respekt przed Najświętszą Panną, czekając: czy się nad nim nie zlituje i nóg mu nie powróci.

Każdego roku w dzień Narodzenia Matki Boskiej, podczas sumy, gdy ksiądz z kazaniem wychodzi na ambonę, węże i żmije wyłażą na drzewa i nasłuchują, czy się o sobie czego dobrego nie dowiedzą, a potem opuszczają się smutne i zawstydzone na ziemię i na zimowe leże rozłażą się po kryjówkach, z wyjątkiem tych, co uka-

siły w lecie tem, człowieka, bo takie muszą pełzać póty, dopóki ich kto nie uśmierci. Temu zaś, co skusił w Raju Ewę i żądło z jadem grzechu w dusze pierwszych rodziców zapuścił, Najświętsza Panna sama własną stopą głowę przydeptała.

Pan Jezus tymczasem rósł i rósł pod okiem Matki Swojej i między ludźmi przebywał, jak człowiek; z dziećmi rówieśnikami bawił się pospolu, jak dziecko dla zabawki lepił z niemi ptaszęta z gliny i puszczał je na powietrze, a one z rąk Jego wylatywały żywe z piosenką radosną, zaś te, co inne dzieci ulepiły, pozostawały martwą gliną...

Tak z Jezusowych rączek wyleciał słowik, sikora i sowa z ptasiemi skrzydłami a kocim łbem, którą niezgrabnie zlepiły małe żydzięta, a którą na ich prośby Pan Jezus życiem obdarzył, aby uciechę z tego miały.



XI.

Zesłał Bóg Ojciec sen na Najświętszą Pannę, okrutny sen, proroczy sen, w którym ukazał Jej wszystkie męczarnie jedynego Syna od omdlenia w Ogrojcu do przybicia na krzyżu.

Widziała, jak Go pojmali zdradzonego przez Judasza i skrępowanego sznurami wlekli przed sędziów, jak Go cierniową koroną wieńczyli, jak Go do słupa kamiennego wiązali i znęcali się nad Nim okrutnie, jak szydzili z Niego i wyrok śmierci Nań wydali. I widziała Matka boleściwa najsroższe dla siebie katusze, kiedy przybity do krzyża konał Jej Syn jedyny i kiedy Mu włócznią bok otworzono, a z rany krew z wodą wypłynęła na znak śmierci cielesnej. A potem widziała jeszcze, jak z krzyża martwe i umęczone ciało zdejmowano i dotykała je własnemi rękoma i na łonie swem piastowała je znowu, jak ongi, gdy Jezus Jej dzieciną był malutką, gdy nie miał rąk i nóg gwoździami przebitych, cierniami uwieńczonej skroni, a w boku rany głębokiej.

I wtedy usłyszała nad sobą głos słodki i czuły:

— Matko, czy śpisz?...

Sen pierzchnął, a na jawie stał przy Niej Syn Jej żywy we własnej swej osobie i pytał: o czem marzyła?

— O męczeństwie Twojem i śmierci Twojej, Jezu mój, — odrzekła.

— Wszak o tem, matko, prorocy przepowiadali i w piśmie o tem stało oddawna, a teraz się wypełni to wszystko na świadectwo Bogu i prawdzie, Matko moja umiłowana!...

I wypełniło się wszystko, jako przepowiedzianem było; niewinna krew baranka Bożego zmyła grzechy świata.

Na Golgocie pod krzyżem stała Matka siedmio-bolesna, stała i ręce łamała, i spoglądała w górę, nad ziemię, jak Syn Jej był wywyższony i nie widziała nic, tylko Jego głowę zwieszoną w koronie cierniowej i oczy bielmem śmierci zachodzące, i usta posiniałe a drżące błagalnym szeptem ofiary i męczennika za katów swoich:

— Ojcze przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią!...

Nie widziała tylko, że kiedy konał na krzyżu Pan Jezus przybity, to z piekła wyrwało się całe wojsko szatanów: krążyło, jak skłębiona chmura nad krzyżem, aby Boską duszę przemocą porwać z rozkazu Lucypera i powlec do niego, niby brankę w niewolę wziętą.

Oblegały dyabły krzyż i czatowały na ostatnie tchnienie Chrystusa, ale zuchwałość ich moc Boska ukarała ślepotą; jak nietoperze oślepione na słońcu, tak wysłannicy piekła z rozpaczą i wściekłością miotali się w powietrzu, tracąc wzrok i nie mogąc zobaczyć duszy Pana Jezusa...

Oślepieni rozbijali się o ramiona krzyża i spadali, jak ćmy od płomienia osmolone w otchłań piekielną, wyjąc i tarzając się u stóp Lucypera:

— Nie widzimy Go!... nie widzimy nic!... ślepotą nas poraził!...

Więc sam Lucyper, gniewny, wściekły, straszny, rozwinął skrzydła, pazury zakrzywił, poleciał na Golgotę, wzniósł się nad krzyż Chrystusowy i ośmielił się na samym jego szczycie uczepić, jak jastrząb, czyhający na gołębia.

Trząsł się z wściekłości i nienawiści piekielnej, kłami zgrzytał i dyszał żądzą pochwycenia duszy Zbawiciela Pana, usadowiony tuż

nad Jego głową świętą i nietykalną. Pan Jezus podniósł oczy po raz ostatni, westchnął i do Boga Ojca zawołał:

— Ojcze w ręce Twoje oddaję ducha mojego!...

A Lucyper, spotkawszy gasnące spojrzenie Pana Jezusa, oślepł tej chwili tak samo od wzroku Jego, jak poprzednio najśmielsze jego posły oślepły; omroczyła go noc ciemna, jakiej nawet piekło w najgłębszych swych czeluściach nie kryło, strach go zjął wielki, sromotny, przygnębiający, puścił krzyż i po omacku schwyciwszy tylko łotra po lewicy Chrystusowej i wisielca Judasza po drodze, runął w otchłań piekielną, gryząc własne pięści z bezsilnej złości i wstydu.

Matka Boska stała pod krzyżem, z najukochańszym uczniem Syna swego, Janem i z Maryą Magdaleną, i płakała... Wtedy jak obłok zerwało się stado jaskółek i zaczęło trzepotać w powietrzu skrzydełkami i żałośnie świegotać, niby płaczki łkające na pogrzebie:

— Umarł, umarł, umarł!...

A z drugiej strony, jak szary tuman wzbiła się gromada krzykliwych wróbli, ćwierkając tamtym na przekór:

— Żyw, żyw, żyw!...

Słysząc to żydzi, wzięli włócznię i przebili bok Chrystusowi Panu i jako Matce Boskiej się wyśniło, wypłynęła z rany krew z wodą. Nad głową Zbawiciela ukrzyżowanego splatał się i rozplatał jaskółczy wianek, niby żałobna wstęga, a wróbliska przestraszone odleciały i odtąd w dzień św. apostołów Szymona i Judy, dyabeł je łapie gromadnie i całymi korcami wsypuje do piekła. Z krwi, co ciekła z ran Chrystusowych, wyrosły białe lilie, a od krwawych łez Matki Boskiej pordzewiały srebrne i złote listki storczyków, co rosły przy drodze wiodącej na Golgotę; tam zaś, gdzie padły łzy Maryi Magdaleny, wytrysła z ziemi stokroć.

Męczeństwo, boleść i żal po śmierci Pana Jezusa zapisały się na ziemi kwiatami, Bogu na chwałę, ludziom na pamiątkę!...



XII.

Została Matka sama na ziemi, z boleścią Swoją, ze łzami Swemi; dwie tylko chwile radosne miała: gdy na świat przyszedł Syn Jej jedyny i gdy w dzień trzeci po Jego zgonie, zmartwychwstałego znowu ujrzała. Przez lat czternaście przy świętym Janie mieszkała smutna, cicha i skromna Boskiego Syna Matka wybrana; ziemską pielgrzymkę kończyła Swoją w modłach, w wspomnieniach, w dusznej tęsknocie, wpatrzona w niebo, gdzie Syn Jej mieszkał, wpatrzona w ziemię, co łzy Jej piła, a krwawe ślady Jego nosiła. Choć siedm mieczów

tkwiło w Jej łonie, chociaż w cierniowej żyła koronie, choć Jej do krzyża Syna przybito, w sercu nie miała cierpkiej goryczy ani do świata, ani do ludzi; ich przyjaciółką, ich opiekunką, ich dobrodziejką była do zgonu i po wiek wieków pozostać miała. A choć krwawemi łzami płakała, łzy te na kwiaty ziemia zmieniała.

Choć całe niebo z swym majestatem czekało na Nią, jak na królowę, Ona z litości wielkiej nad światem, z ludźmi wolała przebywać w smutku i sama żałość tłumiąc swą wielką, była im Matką Pocieszycielką. Na ludzką nędzę dokoła siebie patrząc pełnemi od łez oczyma, chciała ból wszystek poznać na ziemi, aby cierpiących być Matką w niebie...

I zadumana odtąd boleśnie, ze smutkiem w oczach, z chmurą na czole, szła już przez życie, tak, jak Ją we śnie na cyprysowym malował stole Apostoł Łukasz ewangielista, — od ziemskiej zmazy wolna i czysta!...

Gdy się wypełnił czas Jej pielgrzymki, z nieba anioły zleciały w posły i dla strudzonej żywotem duszy parę najlżejszych skrzydeł przyniosły...

W Janowym domu bez bólu, jęku, na apostołów zasnęła ręku; w Janowym domu wierna drużyna żegnała wspólnie Bogarodzicę, gdy zatęskniła do Swego Syna i szła niebieską zasiąść stolicę.

Kiedy do grobu ciało złożono, z rozkoszy ziemskie zadrżało łono, lecz niebo ziemi skarb jej wydarło i wzięły duchy z grobu umarłą i Maryi Panny uśnięte ciało, jak jasne płomię w górę leciało, a ku lecącej Maryi Panience Syn Jej przebite wyciągnął ręce; — złożył Ją lekko na niebios progu i oddał Ojcu Swojemu — Bogu...

Z grobu Maryji woń z blaskiem bije, a zamiast ciała same lilije.

Od samych lilij grób się Jej bieli, przy grobie klęczą w modłach anieli, a ziemia śpiewa pieśń nieustanną:

— Błogosławionaś Maryjo Panno!...«



I

W NIEBIE.





mal. P. Stachiewicz.

Meisenbach Riffarth & Co.

SIEWNA.

I.

Z padołu ziemi Panna wniebowzięta po cichym, skromnym, ubogim żywocie, wśród wiekuistej światłości przebywa; tu na tym świecie wśród maluczkich żyła, ubóstwo znosząc prostaczków, — tam w majestacie wspaniałym królowa, której z czcią niebo całe u stóp leży.

Tu miejsca dla niej brakło w wiejskiej chacie, gdy Boże Dziecię miała na świat wydać, — tam dla niej całe niebieskie przestworza, całe gwiaździste bezbrzeżne rozłogi, całe dziedziny rajskie są otworem.

Tu w kmiecej szopie, złożonej na sianku, nie miała okryć czem Dzieciny Swojej, — tam w gwiazd koronie po Syna prawicy świeci przepychem wszech niebieskich skarbów, a niezliczone zastępy aniołów patrzą w Jej oczy, czekając skinienia.

Tu na multankach prości pastuszkowie grali Jej Dziecku wieśniacze kolendy, — tam brzmią Serafów i Cherubów hymny, od których gwiazdy drżą współdźwiękiem w koło.

Tutaj musiała kryć się przed pogonią okrutnych króla Heroda siepaczy, — tam wszystkie moce piekielne truchleją przed jednym błyskiem miecza archaniołów.

Tutaj łzy smutku lała i żałości, — tam Jej uśmiechem niebo się promieni, a od Jej spojrzeń pogodnych i jasnych tęcze padają na niebios przestworza.

Tutaj samotna szła i opuszczona po Syna Swego zakrwawionych śladach, — tam Ją anioły prowadzą skrzydlate, śpiewając pieśni na Jej cześć pochwalne:

»Od nieba jesteś jaśniejszą Maryjo, od słońca jesteś jaśniejsza królowo, i od miesiąca Panno przenajświętsza, i od gwiazd srebrnych Pani łaski pełna!... od zorzy rannej, od obłoków jasnych i od światłości morza Tyś jaśniejsza i promienistsza Dziewico Maryjo!...

»Jako lilija z rajskiego ogrodu kwitniesz po wieki i nie zwiędniesz nigdy, a wonią Twoją niebo przesiąknięte i oddychają nią niebiańskie światy, jako powietrzem czystem ziemskie twory...

»Błogosławionaś między niewiastami, boś była Matką Bożą tu na ziemi, a jesteś w Bożem królestwie królową!...«

II.

Dusza człowieka musi zadyszana lecieć wciąż długo, nim zdoła dopaść nieba granic; jeśli potrafi przez Czyściec się przemknąć, rajskim gościńcem potoczyć się chyżo, to może stanąć u jednej z bram siedmiu, które do wnętrza pałacu niebieskiego wiodą.

Pałac niebieski stawiał Bóg dla siebie z wszystkich klejnotów najcenniejszych ziemi, wśród których perła, jak marny gruz leży między cegłami z rubinów i brylantowych bloków, miast marmuru.

Obszary gmachu tego są olbrzymie; krocie mil długi, krocie mil szeroki, a ściany jego błyszczą światłem takiem, że przy nim słońce, księżyc, gwiazdy — cień zamiast blasku rzucają przed siebie.

Ludziom nie wolno widzieć tej światłości i wzrok by ludzki nie mógł znieść jej mocy, więc Bóg zasłonę dał z chmur i obłoków, aby blask nieba przed ziemią zakryły.

Z bram siedmiu, które do nieba prowadzą, jest najważniejszą brama Abrahama; przy niej Piotr św. z Pawłem świętym siedzą, jako klucznicy grodu niebieskiego.

W pośrodku tego gmachu szczęśliwości wznosi się siedm chórów ku wyżynie, a na nich sami dostojnicy nieba.

Na pierwszym z dołu nabożni prałaci i zakonnicy Pańscy, co na ziemi byli przez kościół już błogosławieni.

Na drugim wyżsi stopniem i zasługą założyciele zakonów duchownych.

Na trzecim sami papieże, biskupi w złotych tyarach i infułach złotych; na czwartym znowu sami pustelnicy, co pogardzili marnościami świata i wiedli żywot w dobrowolnej nędzy.

Na piątym czystych panien i młodzianków szeregi stoją w śnieżnie białych szatach, a poza nimi tłumy męczenników, którzy dla wiary życie położyli.

Na siódmym chórze samym apostołom Chrystusa Pana, Bóg przeznaczył miejsce i tu Piotr św. trzyma złote klucze, którymi niebo dla ludzi otwiera.

Z księgami w ręku tuż ewangielistów czterech stanęło u podnóża tronu, tak, jak w kościołach stoją przy ołtarzu.

Na głowach świętych błyszczą aureole, jak złote słońca w promienistej gloryi, — a z nich kaskady blasków płyną nieustannie i oblewają wszystkie stopnie chórów powodzią światła.

Na wierzchołku samym tej piramidy świętych Pańskich rojno od białych aniołów, co jak z alabastru ciosane kolumny dźwigają na swych skrzydłach wspaniały tron Boga a na nim siedzi sam monarcha świata, nieba i ziemi Pan, Władzca, Stworzyciel, Bóg Ojciec z berłem w ręce, w całej powadze Swego Majestatu.

I po prawicy ma Syna Swojego, z godłami męki krwawej i ofiary, o krzyż wspartego z barankiem na łonie, z obliczem pełnem miłości i smutku, zapatrzonego w przestwór, kędy zawieszona na łasce Bożej wisi bryłka ziemi...

Niby dziecinę małą a najmilszą, umiłowaną najwięcej w rodzinie, Bóg Ojciec trzyma na kolanach Swoich Pannę Najświętszą, Rodzicielkę Bożą, niepokalaną Dziewicę Maryję...

Z ojcowską, czułą trzyma Ją pieszczotą, jak Ojciec córę Swoją

ukochaną, aby widziało całe niebo o tem, że Ona łaski ma Jego największe i Jego Sercu Bożemu najbliższa.

A Panna święta, niebieska królewna, ręce złożone ma, jak do modlitwy i jakby pacierz mówiła nabożnie, spuszczonych oczu nie podnosi w górę.

Nad Przenajświętszej Rodziny głowami wznosi się tylko gołąbek bieluchny, Duch święty, taką światłością oblany, że nawet oczy aniołów nie mogą patrzeć się w Niego dłużej, bez olśnienia...

Chóry Serafów i Cherubów wznoszą cudowne pienia na wieczną cześć Boga; sfery niebieskie brzmią, jako organy i jako dzwony z srebra i kryształu wtórzą do hymnu:

— Święty, święty, święty!...

III.

Gdy dusza ludzka zrzuci ziemskie więzy i z ciała wyjdzie wraz z ostatniem tchnieniem, przechodzić musi wedle obrachunku, jaki z nią zaraz anioł stróż uczyni, przez drogi, cierniem kolącym zarosłe, pośród skał stromych i przesmyków ciasnych, nad przepaściami, do miejsc przeznaczenia...

Rzadko wybrana dusza śmiertelnika tej szczęśliwości dostąpić jest godna, aby do Raju wpuszczono ją z ziemi i nie kazano wpierw pokuty znosić.

Ziemski pył musi wpierw otrząsnąć z siebie i w czyścu z grzechów wyprażyć się wszelkich, nim jako złoto w ogniu oczyszczone, może dostąpić samego zbawienia...

Jest pole puste, jałowe, ogromne, między skałami zamknięte w kotlinie, do której wiodą trzy bramy kamienne.

Jak wypalona od ciągłego skwaru pustynia, piaskiem grząskim wysypana, co zda się leżeć w omdleniu od spieki i ciężko dysze i martwa na oko, przybita słońca złotymi goździami do ziemi, która jęknąć się nie waży, — tak owa smutna dolina czyścowa wygląda wokół, gdzie okiem zasięgnie.

Słońce ją ciągle rozpala swym żarem aż do białości i nalewa warem, jak kocioł pełny wrzątku, w którem się dusze pławić muszą, póty, aż czas upłynie ich kaźni i męki. Upał i suchość, i ów blask rażący, co z rozpalonych skał bucha okrutnie...

Wszystko tu goreje, a nic płomieniem zająć się nie może, nic się nie pali na głownię i popiół, nic się nie topi i w parę nie zmienia. W takiem gorącu nieustannem skwierczą dusze na karę czyśćcową skazane.

Raz tylko w roku i na jedną dobę wolno im z Czyśca wyzwolić się męki, by w dzień zaduszny spłynąć znów na ziemię, odwiedzić własne domy i mogiły i po kościołach o północnej porze swe nabożeństwo odprawić tajemne; lecz o świtaniu muszą wracać znowu po tej gościnie wśród żywych na ziemi, by swą pokutę do końca wypełnić, jako w wyrokach Bożych napisano.

Pomiędzy Czyśćcem a Rajem jest rzeka, co rozgranicza z sobą te dziedziny; fale jej płoną i z czarnych odmętów ziejący ogień oba brzegi liże, a wśród płomieni, jak jęczące głownie, płyną skazane dusze potępieńców...

Przez oną rzekę rzucony most wisi, chwiejny, że ustać na nim niepodobna, a tak wąziutki, jako kładka wązka, na której ledwo jedna stopa stanie; po obu stronach mostu stoją straże, duchy piekielne z widłami ostremi i w toń spychają każdą śmielszą duszę, coby się chciała tej kładki uczepić i dostać po niej aż pod rajskie wrota.

Dusze spadają w płomienistą rzekę, co płynie wartko straszna, niezgaszona, jak płaz olbrzymi z ognia wiecznego, a choć się miota, skręca i wydyma, fale jej toczą się nieme i ciche i tem straszniejsze w swej milczącej grozie, pełzać się zdają w krąg czyśćcowych granic...

Tylko rozpaczne krzyki potępieńców i jęki ciężkie, bolesne, głębokie, z tych płomienistych fal się wydzierają.

W każdą środę i sobotę każdą rajskim gościńcem ku temu mostowi z orszakiem świętych i anielską strażą Najświętsza Panna zchodzi z nieba szczytów.

Nad płomienistą przesuwa się rzeką, a za Nią święci Pańscy idą społem w długim orszaku, w światłość i blaski wspaniale ubrani.

Na drugim brzegu u kamiennej bramy zastęp aniołów z tablicami w ręku, na których każdej duszy umęczonej jest czas pokuty oznaczony ściśle, wita z pokorą tych dostojnych gości i z czcią wprowadza ich w czyścowe progi.

Kiedy Najświętsza Panienka się zbliża, to jakby w skwarny dzień posuchy wielkiej powiał wiatr chłodny na spieczoną ziemię i jakby obłok rzucił cień chłodzący na żarem słońca piaski rozpalone.

Chłodniej się robi w czyścowej pustyni...

Pokutujących dusz gromady czują ulgę w męczarniach i w chwili wytchnienia pokornym, wdzięcznym choć nieśmiałym szeptem, który po całym Raju się rozpływa, witają Pannę Najświętszą słowami:

— Roso niebiańska bądź błogosławiona!...

A głos ten płynie, jak z boru szum liści zwarzonych długą spiekotą lipcową, gdy je z omdlenia podmuch wiatru zbudzi. Wówczas na prośby Świętych Pańskich, oraz aniołów stróżów, Panna Przenajświętsza uwalnia jedną duszę z mąk czyścowych; tej wyzwolonej przez prośby i modły podaje sama różaniec i z całej rzeszy tę jedną wybraną z kamiennej bramy Czyśca wyprowadza.

A za nią święci długim korowodem, litanię mówiąc, wychodzą nad rzekę ogniem płynącą; złe duchy, które zwykle mostu strzegą, jak niewolnicy, ze drżeniem ustępują i przez ów wązki most Najświętsza Panna powoli wiedzie wybawioną duszę na brzeg przeciwny do rajskich ogrodów...

Wrota kamienne zapadają z trzaskiem i jak skrzesane ze sobą krzemienie deszcz iskier sypią na progi czyścowe, a słońce znowu zionie większym żarem i znów rozpala do białości skały i piasek, w którym tarzają się dusze grzesznych skazańców na czyścowe męki...

IV.

W rajskim ogrodzie wszystko tchnie rozkoszą, wszystko w szczęśliwych duszach zachwyt budzi i podziw, nawet nieznany na ziemi.

Tu wieczna wiosna z wiecznem latem w parze odmładza wszystko i rozwija ciągle — tak, że na drzewach kwiat z owocem razem pośród zieleni łączy się i zwija.

Tu szemrzą cicho srebrzyste strumienie i źródła biją kryształowej wody, co wieczną młodość i rzeźwość nadaje. Jak kadzielnice pełne cudnej woni chwieją się kwiaty na złotych łodygach i różnobarwne fruwają motyle, świecące blaskiem najrzadszych klejnotów; skały z bursztynu a kwiaty z korali wśród szmaragdowych łąk się wznoszą.

Nigdy nic tu nie więdnie i nic jesiennej nie przywdziewa szaty...

Gdzie spojrzeć kwiaty, kwiaty, same kwiaty.

Gdy wietrzyk trąca o liście krzewiny, lub przez gałęzie drzewa się przemyka albo po trawach się ślizga na łące, to jakby w struny uderzał dźwięczące.

Drobnego kwiecia w pąkach pełno wszędy; kwiatki te w rajskim kwitnące ogrodzie, to zmarłych dzieci niewinne duszyczki.

Przy ziemi rosną, małe główki wznosząc ku Świętym Pańskim i aniołom białym, co się po rajskich drogach przechadzają i patrzą na nie z miłością.

A uśmiechnięte kwiatki listeczkami swymi szeleszczą cicho, i drżą jak motyle, co się do lotu mają zrywać z ziemi.

Ilekroć na nie wionie powiew z nieba, nabożnie główki swoje drobne kłonią i niby srebrne dwonki cicho dzwonią:

— Zdrowaś Maryja!... zdrowaś Maryja!

Z Raju ku bramom niebieskim się wiją, jak wstęgi różnych barw i szerokości, ścieżyny, drogi i gościńce bite; po nich procesye chodzą Świętych Pańskich, z takim przepychem i taką wystawą, że oko ludzkie mogłoby wypłynąć, spojrzawszy na te cuda niewidziane, bo trudnoby mu było znieść tak wielkich blasków.

Na rozkaz Boga Święci i anieli obcują razem z duszami rajskiemi i chodzą z niemi, rozmawiają z niemi, a za wspaniale zastawionym stołem z procesyi idą ucztować tu społem.

Stąd widać dobrze już pałac niebieski i wszystkich, którzy do niego wstępują; widać przez okna i bramy rozwarte bijącą łunę wiekuistych świateł i słychać odgłos niebiańskich harmonii, hymnów i śpiewów, i trąb archanielskich, grających Bogu i Świętym hejnały.

Gdy Matka Boska przez gościniec rajski z nieba do czyśca idzie w Swym orszaku i wraca potem z wybawioną duszą w każdą środę i w każdą sobotę, przez trzy dni pachnie cały Raj liliami i taka błogość, roskosz, spokój taki spływa na dusze w Raju pomieszczone, że tracą czasu wszelkiego rachubę i wieki całe zdają im się chwilą, a wieczność płynie, jak te ciche wody, o niezmierzonej głębi, co się wydają, jakby w miejscu stały, spokojne, gładkie, równe, nieruchome...

V.

Ilekroć jaka dusza uświęcona za wiedzą Bożą i za łaską Bożą wchodzi w pałacu niebieskiego progi, to aż na ziemi widać blask o tyle, o ile niebo dla niej się otwiera.

I kiedy z ziemi widać jasność w górze, co na obłoki wybuchnie znienacka, to ludzie mówią, żegnając się krzyżem, że nowy święty wstępuje do nieba i wtedy dobrze uklęknąć nabożnie, tak, jako człowiek stał na miejscu jakiem i w modłach duszę swą polecić temu, co wchodzi w kraje wiecznej szczęśliwości, przy Boga tronie zająć miejsce swoje.

Dobrze mieć w niebie patronów najwięcej i grzesznej duszy rzeczników łaskawych, by łatwiej dla niej zyskać odkupienie i skrócić termin czyścowych męczarni.

Odblaskiem świateł wiekuistych świecą miliardy gwiazdek rozsianych, jak perły po firmamencie.

Dla większej chwały jedynego Syna Najświętsza Panna zawiesiła słońce jasne i księżyc na niebieskim stropie; na nie z oczu Jej pada światło z nieba przez odemkniętą furtę od siódmego chóru, którą najszerzej Święci otwierają...

Gdyby Bóg Ojciec drzwi te zamknąć kazał, zgasłoby słońce, jak zdmuchnięta świeca i ciemność wielka spadłaby na ziemię, jak ta, co sobą zalega otchłanie, w których niechrzczone pokutują dusze, w przepaściach nocnych za piekieł granicą.

Ale tak z łaski Panny Przenajświętszej odblaskiem nieba i Jej samej świeci słoneczko święte, oko dnia jasnego i żyje, jako inne twory Boże, i chodzi górą ponad ziemią, brzegami morza i zagląda wszędy i wszędy odblask Matki Boskiej niesie na sobie, aby nim ziemię całą błogosławić i ludziom wszystkim dusze rozweselać.

Spada do morza i płynie po wodzie i nie utonie na największej głębi; goreje ciągle, jak ów Mojżeszowy krzak, w którym Pan Bóg przemawiał i nigdy, nigdy spalić się nie może...

Światło rozlewa i ciepło po ziemi i wydobywa z niej ziarneczko każde, co wiatr zasieje, czy ręka człowieka; ono maluje kolorami ziemię, jak żaden malarz piękniej nie potrafi.

Gdyby nie ono, dotąd ziemia cała brudnyby tylko, rdzawy kolor miała, podobny do krwi zakrzepłej i ściętej, co to ją rozlał po tej ziemi świętej Kain, gdy pierwsze popełnił morderstwo.

Ongi ta ziemia bowiem była czysta, biała jak kreda, jak kryształ przejrzysta, więc kędy tylko dłońmi skrwawionemi zagrzebał Kain ciało Abla w ziemi, wszędy trup widniał ze szklannego grobu, że skryć go całkiem nie było sposobu...

Więc zaczął Kain kląć tę ziemię białą, że jego zbrodni utaić nie chciała...

Wtedy od przekleństw ziemia poczerniała.

I takby było aż po nasze czasy, gdyby się Pan Bóg nie chciał ulitować i wszystkie łąki, pola, góry, lasy nie kazał słonku barwnie umalować...

Za sprawą Matki Przeczystej na słońce, niby do miejsca kędyś cudownego, chodzą gromadnie Święci, jak z procesyą odprawiać często swoje nabożeństwo.

Z powrotem zwykle na księżyc wstępują, gdzie święty Jerzy, rycerz nad rycerzy, mieszka od wieków z łaski Maryi Panny.

Żył niegdyś wielki czarownik na świecie, co wiary świętej był zaciętym wrogiem i nie chciał długo pogodzić się z Bogiem; miał zaś córeczkę młodą, jedynaczkę, wielce nabożną i skromną dzieweczkę, co przed nim skrycie modliła się zawsze do Bożej Matki i w gorącej skrusze Jej polecała serce swe i duszę.

Kiedy to ojciec zmiarkował okrutny, chciał własne dziecko przez nienawiść zgubić; strasznego smoka do siebie sprowadził, aby mu córkę jedynaczkę zgładził i swą dzieweczkę dał mu na pożarcie.

Wtedy to Pan Bóg wdał się w złą tę sprawę i święty Jerzy, rycerz nad rycerzy, żarłoczną bestyę na miejscu uśmiercił, kiedy jej gardziel swą dzidą przewiercił.

Tak uszła zguby niechybnej dzieweczka, a Marya Panna, widząc czyn ten śmiały, wezwała przed się rycerza i rzekła:

— Za to, żeś życie tej dzieweczki czystej obronił mężnie, będziesz mój rycerzu miał na niebiosach swój rydwan gwieździsty i mój miesiączek dam ci na mieszkanie!...

I odtąd mieszka rycerz Maryi Panny na księżycowej tarczy, cały w srebrnej zbroi; z podgiętą nóżką siedzi tam wygodnie, w niebo się patrzy i swą lutnię stroi i na niej cudne piosenki wygrywa i przy jej dźwiękach na cześć Boga śpiewa.

Kiedy się księżyc na pełni wybieli, można go widzieć w nockę cichą, jasną, — a gdy już ludzie snem głębokim zasną, lutnisty świętych słuchają anieli...

Jak brylantowym żwirem, wysypane niebo gwiazdami; jak biskupi ornat lśni się wyszyty perłami samemi.

A jak w kroplach rosy światło słoneczne odbija się rankiem, tak w nich blask nieba odbija się nocą.

I każdy człowiek ma swą gwiazdę własną, która jaśnieje tak, jak jego życie; gdy światło życia zagaśnie na ziemi, gaśnie i gwiazda w górze promienista i w przepaść spada, jak iskra zdmuchnięta, a po niej tylko ciemny znak, jak plamka skrą wypalona w miejscu tem zostaje.

Więc kiedy gwiazda spada z niebios stropu, za duszę zmarłą, co się w niebo wzbija, aby jej lżejszą utorować drogę, z ust ludzkich wzlata z nią: »Zdrowaś Maryja!...«

Każdy ze świętych ma także swą gwiazdę, lecz ta na wieki już jest zapaloną — i takie światłem najjaśniejszem płoną, równie jak ludzi, co się modlą długo i Boga chwalą stale i gorąco; tych gwiazd anioły nigdy z nieb nie strącą...

Dla świętościwej Matki, dla niebios królowej, najpromienistsze gwiazdy w koronę się plotą; wśród nich blask srebrny świeci gwiazdy porankowej i wieczorna lśni gwiazda jaśniejsza, niż złoto, i północna, co zawsze w jednem miejscu stoi, koronę Matki Boskiej swą jasnością stroi.

W każdą niedzielę rano, gdy na jutrznię dzwonią, ledwie zorza rumieńcem niebo rozpogodzi, Najświętsza Panna z Synem swym po niebie chodzi i za rączkę prowadzi Swą dziecinę małą, tak samo, jak to ongi, na ziemi bywało. Zaś nocą kiedy mleczna roziskrzy się droga, która przez Raj się ściele, aż pod sam tron Boga, godna tej łaski dusza może widzieć Maryę, idącą z Jasnej Góry tędy na Kalwaryę... Samotna i w zadumie świętej pogrążona, idzie Królowa Niebios z dzieciątkiem u łona i snem zmorzonej ziemi błogosławi ręką, a gwiazdy ławą płyną za świętą Panienką...

I taka wówczas cisza, taki spokój w górze, taka jasność po całym rozlana lazurze, jakby nawet anioły oddech wstrzymywały, a w dole z zachwycenia oniemiał świat cały...

Mateńka Boża z dzieckiem mleczną drogą kroczy i ku ziemi obraca zadumane oczy.

Idzie i marzy...

Za Nią gwiazdek tłumy, a żaden głos Jej nie śmie przerwać tej zadumy...

VI.

W piekle, sadzami okopconem, wrzawa; gorące dymy kłębią się, jak gady, płomienie zewsząd buchają i syczą, w kotłach wre smoła, swąd wydając taki, że same dyabły krztuszą się od niego...

Od pisków, jęków, krzyków drży powietrze, zgrzytanie zębów nigdy nie ustaje i słychać ciągle brzęk łańcucha, którym Lucyper przykuty do słupa w pośrodku piekła z wściekłością potrząsa.

Ten sam to łańcuch, który czartów książe kuł długie wieki od stworzenia świata, aby ludzkiego rodu Zbawiciela, kiedyś w okowach takich więzić; za to sam własne dźwiga dziś kajdany.

Święty go Michał spętał tak z rozkazu Pana Jezusa, gdy po zdjęciu z krzyża zstąpił do piekieł.

Szatani się swarzą i przewódcę swego obelgami obrzucając, wrzeszczą; bunt przeciw niemu wznoszą nieustanny za to, że przezeń utracili niebo, przegrali wojnę srogą z Panem Bogiem i odtąd w przepaść zepchnięci żyć muszą w mękach, w ohydzie, w wiecznym ogniu gorzeć do dnia sądnego.

A rozpalony łańcuch Lucypera, co nie chciał uznać niewiasty przedwiecznej, której świat cały miał pokłon oddawać, należny Boga

Rodzicy Najświętszej; z roku się na rok powoli przepala i kiedyś nawet zerwie się zupełnie, a wówczas piekła rozpętany książe zbierze powtórnie swe hufce szatanów i z nimi nową podejmie wyprawę przeciwko niebu.

Stanie się to jednak w dzień strasznego sądu na samym końcu świata tego.

Gdy horda szatanów do Abrahama bramy szturm przypuści, wtedy Bóg stanie w całym Majestacie na niebios progu, spojrzy tylko z góry, a jedno Jego wszechmocne spojrzenie, jeden błysk oka gniewnego wystarczy, by popłoch rzucić na dyabłów zastępy i strącić wszystkie w przepaście bezdenne.

Pan Jezus wówczas oprze się na krzyżu, schyli i ręką zawrze ziemię, która złe duchy połknie na wiek wieków — Amen.

I śladu więcej po nich nie zostanie.

Jednak nim taki koniec na nie przyjdzie, piekło się trzęsie od szatańskiej złości.

Dusze, za grzechy żywota skazane na wieczną mękę w piekielnych czeluściach, wiją się w strasznych cierpieniach bez ulgi, w męczarniach, które jak łańcuch bez końca plotą się w coraz to cięższe ogniwa, rosną i rosną, rosną nieustannie...

Każdy grzech wielki, każda zbrodnia krwawa, każda obraza Boga i praw Jego ma odpowiednią sobie karę tutaj, a jako ziarno w kłos zboża wyrasta, tak grzech zasiany w ziemskiem życiu, wschodzi po śmierci pełnym kłosem kary.

A najstraszniejszą zaprawą męczarni, co bywa cierniem tkwiącym w krwawej ranie — to beznadziejność i świadomość tego, że złe nie minie, kara nie ustanie, że trzeba cierpieć na wieki katusze, w boleściach ciągłych i ciągłej rozpaczy, z tem czuciem ciała, które przeszło w duszę, — z tą świadomością, że Bóg nie przebaczy...

Za drzwiami piekieł na wrzeciądzach wisi ohydny zdrajca Judasz, — przy nim worek z srebrnikami leży; oczy mu krwawe na wierzch wysadziło i patrzy niemi w piekło przerażony, drżący ze strachu, jako liść osiki, w ciągłych męczarniach grozy i konania.

Czart coraz bardziej zaciska obrożę, — wisielec kona, a skonać nie może...

Za bramą piekieł widać czarne bory, w których wyrosły drzewa, jak potwory; w błotnych moczarach ziejących woń trupią, stugłowe węże i smoki się chlupią.

Poczwarne bestye wietrząc, wznoszą głowę, samem spojrzeniem pożreć się gotowe.

Ogromne ptaki ohydne z wejrzenia, żerują w koło i krążą nad błotem, wrzask przeraźliwy czyniąc nieustannie krzywymi dzióby i skrzydeł łomotem; od wiatru, jaki z ich lotem powiewa, chwieją się w borze i padają drzewa.

Przez te moczary, błota, trzęsawiska, wiedzie gościniec wygodny, szeroki, wysłany cały miękkim aksamitem, aby tem łatwiej skusić podróżników i zwabić dusze w piekielne zasadzki. Jednak i tutaj w tych miejscach przeklętych, w tych strasznych grzechu i zbrodni pieczarach, w ciemnem podziemiu księcia Lucypera, który sam w hołdzie bluźnierstwa odbiera, znosząc obelgi dyabłów zbuntowanych, i tu w tę bezdeń zapadłą bez końca, gdzie nigdy promień nie zagląda słońca, gdzie tylko chaos wichrzy nieustanny — dosięga jeszcze cześć Maryji Panny!...

Na progu piekieł pan Twardowski siedzi, co dyabłu swoją zaprzedał był duszę, siedzi i w piersi grzeszne pięścią wali i łeb na piersi swe pochyla kornie; łzy mu po twarzy uznojonej cieką i z siwych wąsów kapią na kolana, a on co chwila tylko ręce składa i od żałości ciężko wzdycha, drżącemi usty śpiewając Godzinki do Przenajświętszej Maryji Dziewicy.

Musiał go dyabeł mimo cyrografu upuścić w drodze, gdy go niósł do piekieł i pozostawić tak na samym progu, gdy zaczął głośno śpiewać pieśń nabożną i duszę swoją, choć niegodną wielce, polecać Matki Boskiej zmiłowaniu.

VII.

W rajskim ogrodzie są pola szerokie, rozległe łany, jak kobierzec miękkie, za nimi gaje liliowe i z najcudniejszych róż plecione płoty. W liliowych gajach po cienistych ścieżkach Najświętsza Panna się przechadza codzień, a lilie przed nią kłonią głowy białe i pod Jej stopy woń zlewają świeżą i złocą ślady Jej nóżek na piasku.

Po kwietnych łąkach pasą się owieczki, śnieżnej białości pasą się baranki, same niewinne dusze dobrych ludzi, których Pasterką jest Maryja Panna; kiedy nad niemi rączkę Swą podniesie z błogosławieństwem na znak laski Swojej, białe ich runo bielszą barwą świeci i księżycowe z siebie blaski sieje.

Do tej owczarni Matka Boska zbiera wybrane tylko duszyczki ze świata.

Gdy taka dusza po raz pierwszy wejdzie na niebotyczny gościniec wieczności i nie wie: kędy obrócić się trzeba, staje na drodze skromna, zalękniona i widząc wrota zamknięte do nieba, a w dole piekło przed sobą otwarte, płacze cichemi łzami i wyrzeka:

— Gdzież mi tu biednej podziać się i w którą, nieznaną drogą, skierować się stronę!...

Pastuszka Święta wówczas przed nią staje i aby biedna dusza nie zbłądziła, wiedzie ją z sobą gościńcem wieczności i mówi do niej łaskawie przez drogę:

— Nie płacz ty, nie bój piekła gorącego, ja cię zawiodę do Raju wiecznego; będziesz się pasła na wieki już w Raju, białą owieczką po zielonym gaju!...

Nieraz tak całe dusz błądzą gromady, nie mogąc drogi znaleźć ani miejsca i chodzą z płaczem, szukając przytułku.

Idą na cmentarz i proszą:

— Cmentarzu, weź nas i przyjmij i schowaj w mogiły, abyśmy spokój do dnia sądu miały!...

A cmentarz na to:

— Nie mogę, nie mogę, boście bez świętej pomarły spowiedzi!

Idą pod kościół i proszą:

— Kościele, otwórz twe wrota i wpuść nas do siebie; będziemy mieszkać pod twojem sklepieniem i za ołtarzem klęczeć na wiek wieków!...

A kościół na to:

— Nie mogę, nie mogę!...

Idą na lasy, zawodząc żałośnie:

— Lesie, ty lesie, schowaj nas w swym gąszczu, nakryj nas cieniem i napój swym chłodem, bośmy się trudem życia uznoiły, bo wypoczynku łakniemy i ciszy!

A las im szumem odpowie:

— Nie mogę!...

Więc się zmęczone dusze wloką dalej, idą do ognia i proszą:

— Ty ogniu, zlituj się przecież, chwyć nas w swe płomienie, abyśmy w tobie na wieki gorzały, bo nas chłód mroźny na ziemi przejmował, bośmy od zimna i krzepły i drżały!...

A ogień syczy:

— Nie mogę, nie mogę!...

Idą nad wodę dusze utrapione i pochylone nad nią płaczą:

— Wodo, zabierz nas w swoje kryształowe tonie, bośmy spragnione i zeschłe, jak liście, życia spiekotą i wiatrem zwarzone!...

Lecz woda szemrze:

— Nie mogę, nie mogę!...

Więc upadając ze znużenia dusze, pod samą piekła dostają się bramę, z rozpaczą ręce łamią i wołają:

— Piekło, do ciebie przychodzim zbłąkane, zabierz już ty nas do swojej pieczary!... Pan Jezus o nas wiedzieć nie chce, cmentarz nam mogił odmawia, a kościół schronienia, ziemia i lasy, i ogień, i woda przytułku dla nas nieszczęsnych nie mają. Piekło, ty weź nas, ty pochłoń na wieki, ty usłysz nasze błagalne wołania!...

I piekła bramy zgrzytają w zawiasach i bucha ogień, zionie żar straszliwy, a w ogniu ku nim huczy głos:

— Więc wejdźcie!...

Lecz dusze nagle srogi lęk zdejmuje na widok onych czeluści piekielnych i tej zaguby niechybnej... truchleją; strach je na ziemię powala, jakoby zboże skoszone na łanie i drżąc ze strachu, szlochają i krzyczą: »Panienko święta, a ratujże Ty nas, coś Matką naszą, Orędowniczką i Wybawicielką!«

Najświętsza Panna w gwieździstej koronie w tęczowym płaszczu królewskim się zniża i nad duszami uczyni znak krzyża i nim je zdąży piekieł schwycić paszcza, nakrywa wszystkie polą swego płaszcza.

Potem zgarnąwszy duszyczki struchlałe, jako pasterka staje na ich przedzie i rajską drogą ku niebiosom wiedzie, zbłąkanych owiec swoje stadko białe...

Nie zawsze jednak i nie w każdej dobie ta miłosierna Pani tak łaskawa, — nie wszystkim równe zmiłowanie dawa, chociaż je nawet umiłuje sobie; bo kiedy które zejdą z tego świata, całej ze siebie nie zmazawszy winy, lecz się Jej łasce polecą matczynej, Ona te dzieci niedobre i grzeszne, sama pokutą z ziemskich plam oczyszcza i by je rychlej zbawić miłosiernie, wodzi je ścieżką przez ko-

łące ciernie i po kamieniach, co ich stopy ranią, — a one idą chętne za swą Panią i szłyby środkiem piekielnych czeluści, krzepione wiarą, wytrwałe nadzieją — wiedząc, że ile krwawych łez wyleją, tyle im grzechów Pan Jezus odpuści. Najświętsza Panna w łaskach nieprzebrana wstawia się sama do Chrystusa Pana, by wpuścić kazał duszyczki do nieba, które za progiem kulą się i płaczą i do bram jego nadarmo kołaczą.

A nawet z tronu swojego się schyla i słucha między aniołami swymi, czy tam jęk jaki nie leci od ziemi?...

A gdy posłyszy błagalne wołanie duszy, co w niebo wspiąć się nie ma siły i wzdycha ciężko cierpieniem znękana, i pada w prochu na oba kolana, i zmiłowania drżącym głosem woła, wtedy posyła z pomocą anioła, aby ją podjął, jak złamane kwiecie i wziął na skrzydła lekko, niby dziecię i zaniósł w górę z ziemskiego padołu...

Sama łez dużo na ziemi wylała i w sercu czuła siedmiorakie miecze, więc jako Matka ludzi litościwa, co zna ich żywot i ich dolę ciemną, w swem miłosierdziu bezgranicznem rzecze:

— Niechaj łza żadna nadarmo nie spływa i niechaj człowiek nie płacze daremno!...

VIII.

Gdy się przepali łańcuch Lucypera, — od kamiennego oderwie się słupa książe ciemności — wtedy światu biada!...

Wtedy dzień sądu świtać zacznie.

Na ziemi straszne ukażą się znaki i jak przeczucie przed burzą gromową, lęk zdejmie ludzi; będą z twarzą bladą, z rozwianym włosem, z oczyma w słup postawionemi chodzić, porzucać dom swój i zajęcia, wybiegać zewsząd w pośpiechu na pola i z niepokojem poglądać to w niebo od chmur sczerniałe, to znów w ziemię, co głuchym rykiem, jako lew w pustyni, w wnętrznościach swoich odzywać się zacznie...

Niepokój wszelkie ogarnie stworzenie i każde z drżeniem czekać będzie czegoś, czego się usta nazwać nie odważą i co na myśli obłęd rzucać będzie.

Ramiona ludziom zwisną, jak powiędłe płaczącej brzozy gałęzie — i stracą wszelką ochotę do pracy i do czynienia czegokolwiek w życiu, jakby w przeczuciu, że kres świata blizki i że nie warto już niczego więcej kończyć ni nowej rzeczy rozpoczynać.

Ciężkość i senność, jak deszcz ołowiany spadnie na dusze i jak mgła wilgotna przeniknie ciało do kości i szpiku.

Zobojętnieje ludziom cała ziemia i wszystko, co im umilało życie i czego dotąd w życiu pożądali, okrom jednego snu, co człeka zmorzy, lecz wypoczynku i wzmocnienia nie da.

Zobojętnieje im dobro i mienie, i co kochali — od serca odpadnie, jak liść odpada od kwiatu schnącego.

Wówczas o zmierzchu, pod wieczorną porę w każdym się domu rozlegnie pukanie do drzwi zamkniętych i głos tajemniczy spyta:

— Czy śpicie?...

Gdzie odpowiedzą w pół śnie, w pół na jawie:

— Śpimy, — tam głos ów odezwie się słowy:

— Śpijcież snem wiecznym!...

Skąd zaś odpowiedź wybiegnie:

— Czuwamy — tam głos ów rzecze:

— Więc żyjcie na wieki!...

I tak od domu do domu głos ów podąży przez calutką ziemię i do czuwania wezwie ludzkie plemię, a głos to będzie Przenajświętszej Panny, która na ziemię zejdzie z nieba sama ostrzegać dzieci praojca Adama przed końcem świata i dniem sądu Boga.

Potem rozpęknie ziemia, jak wezbrany wrzód na ciele Joba i wyda z siebie potwór Antychrysta, co się urodzi w piekle z Lucypera, i na ognistym wozie będzie jeździł pomiędzy ludźmi.

— Do mnie, do mnie wszyscy! — będzie z płomieni wołał ku śmiertelnym — ja wam dam nowy żywot, nową wiarę, nową naukę, nowe przykazania. Odstąpcie Boga, który był tam w niebie, ale którego już niema nad wami!... Jam Bóg, Zbawiciel i Władzca wasz nowy, przede mną innych bogów nigdzie niema!

Kto się da złudzić jego śmiałej mowie i za ognistym jego wozem stanie, co krwawą łuną świecić będzie wkoło, temu naznaczy czarnym krzyżem czoło i będzie święte to fałszował znamię, na dowód, jako swej prawdy nie kłamie.

Woda nie zmyje, ogień nie wypali tych znaków, które jako

trąd się czepią i Antychrysta wyznawców oślepią, że będą przy nim jak przy Mistrzu stali i dusze dadzą na całopalenie i jak ćmy nocne rzucą się w płomienie.

Lecz się i niebo tej chwili otworzy i z nieba zejdzie wraz posłannik Boży, by Antychryście ofiary odbierać; tłum zaślepionych do siebie przywoła i czarne krzyże będzie ludziom z czoła olejem świętym w imię Pańskie ścierać. Wtedy się strasznie rozsroży złość czarta; rozłupie ziemię, jak krzemień zgnieciony i czarnych duchów wypuści legiony, a ziemia zadrży i zionie rozwarta ogniem piekielnym. Zaklęsną się góry, z brzegów wystąpi rozhukane morze, Lucyper swoją zerwawszy obrożę, wypowie niebu wojnę po raz wtóry.

I oszaleją wraz wszystkie żywioły, gryząc się wzajem, jako hydra z hydrą; orkany ziemię zaczną szarpać wściekle i z niej wnętrzności wszystkie na wierzch wydrą i wrzawa buchnie gorsza, niźli w piekle...

Posoką wszystkie zabarwią się rzeki, bo krew, co w ziemię wsiąkała przez wieki, wystąpi teraz zewsząd strumieniami i kipieć zacznie i w morza się zwali i cała ogniem w okrąg się zapali, a nad tą tonią płomieniem ziejącą, jako dwie chmury, co padną na siebie i w jednej chwili całe niebo zmącą, tak się dwa wojska zmieszają...

Wojsko aniołów z wojskiem Lucypera stoczy w powietrzu razem bój zażarty, — w obłokach wyjąc, zaroją się czarty i będą chciały wedrzeć się do nieba, lecz znagła wódz ich, jako sęp zawiśnie i wyda straszny krzyk rozpacznej trwogi...

Światłem zapłyną niebiańskie rozłogi i krzyż potężny na tle nieba błyśnie.

I porażone zastępy szatanów złamią się w swojej dumie, złości, pysze i w swoją niemoc sromotną uwierzą; opuszczą wodza swego towarzysze i w jęk okropny zmienią się ich wrzaski i jednym głosem o niebo uderzą, w popłochu wielkim:

— Łaski, łaski, łaski!...



WNIEBOWZIĘCIE

trąd się czepią i Antychrysta wyznawców oślepią, że będą przy nim jak przy Mistrzu stali i dusze dadzą na całopalenie i jak ćmy nocne rzucą się w płomienie.

Lecz się i niebo tej chwili otworzy i z nieba zejdzie wraz posłannik Boży, by Antychryście ofiary odbierać; tłum zaślepionych do siebie przywoła i czarne krzyże będzie ludziom z czoła olejem świętym w imię Pańskie ścierać. Wtedy się strasznie rozsroży złość czarta; rozłupie ziemię jak krzemień zgnieciony i czarnych duchów wypuści legiony, a ziemia zadrży i zionie rozwarta ogniem piekielnym. Zaklęsną się góry, z brzegów wystąpi rozhukane morze, Lucyper swoją zerwawszy obrożę, wypowie niebu wojnę po raz wtóry.

I oszaleją wraz wszystkie żywioły, gryząc się wzajem, jako hydra z hydrą; orkany ziemię zaczną szarpać wściekle i z niej wnętrzności wszystkie na wierzch wydrą i wrzawa buchnie gorsza, niżli w piekle…

Posoką wszystkie zabarwią się rzeki, bo krew, co w ziemię wsiąkała przez wieki, [illegible] siebie i w jednej chwili całe niebo zmącą, tak się dwa wojska zmieszają…

Wojsko aniołów z wojskiem Lucypera stoczy w powietrzu razem bój zażarty, — w obłokach wyjąc, zaroją się czarty i będą chciały wedrzeć się do nieba, lecz znagła wódz ich, jako sęp zawiśnie i wyda straszny krzyk rozpacznej trwogi…

Światłem zapłyną niebiańskie rozłogi i krzyż potężny na tle nieba błyśnie.

I porażone zastępy szatanów złamią się w swojej dumie, złości, pysze i w swoją niemoc sromotną uwierzą, opuszczą wodza swego towarzysze i w jęk okropny zmienią się ich wrzaski i jednym głosem o niebo uderzą, w popłochu wielkim:

— Łaski, łaski, łaski!…



mal. P. Stachiewicz. Meisenbach Riffarth & Co.

WNIEBOWZIĘCIE

Ale spóźnioną będzie ta ich skrucha, — Chrystus szatańskich błagań nie wysłucha!...

Na niebo wstąpi w chwale Pan Przedwieczny, a święty Michał w trąbę swą uderzy i w cztery strony obróci się świata i na dolinę wezwie Józafata żywych i zmarłych na sąd ostateczny... W dole się skończy straszny pożar ziemi.

Jako na wodę porzucone głownie, zaczną płomienie zagasać gwałtownie i ziemia w ogniu wypalona cała, stanie się znowu przejrzysta i biała, jak była ongi na początku świata, nim pierwszy zbrodniarz zabił swego brata.

Gdy się już wszystkie żywioły uciszą, strwożone dusze głos trąby usłyszą, co po raz wtóry sen śmierci z nich spłoszy...

Wstaną i ciągnąć będą, jak pielgrzymi, to pojedynczo, to w całych gromadach wszech wieków ludzie, wsze narody ziemi, a coraz większa ciżba ich urośnie i coraz szerszy strumień ich popłynie po tej rozległej pod czyścem dolinie, co się doliną Józafata zowie. Chrystus najwyższą stolicę zasiędzie i wezwie swoich archaniołów straże i po raz trzeci otrąbić rozkaże, że przyszedł sędzia i że sądzić będzie...

W tej chwili taka świat zalegnie cisza i taką wszystko zaniemieje trwogą, jakby w przestworach była pustka głucha i oprócz Boga nie było nikogo...

Chrystus podniesie swą rękę i rzecze głosem, co zabrzmi jak największe dzwony wszystkich kościołów na spalonej ziemi:

— Pokój wam wszystkim i pokój każdemu, co sprawiedliwie żył i po Bożemu; pokój wam dusze, coście przy mnie trwały i nie upadły ani nie zwątpiły, — będziecie za to wiecznie ze mną żyły, wstąpicie ze mną do niebieskiej chwały!...

I każe dobrym stanąć po prawicy, a do złych rzecze głosem podniesionym, co gromem spadnie przez wszystkie przestworza:

— Wy precz ode mnie na wieki umarli, coście zwątpili i mnie się zaparli!... nie znam was!... miejsca niema dla was w niebie, więc niech was piekło na wieczność zagrzebie!...

I po lewicy głucha rozpacz będzie i dusze będą w milczeniu się wiły, bo nawet jęknąć zabraknie im siły.

A Chrystus stanie w wielkim Majestacie, choć w skromnej tylko i białej swej szacie, choć bez królewskiej na skroniach korony, ale wspaniałym blaskiem otoczony, podniesie obie przebite swe dłonie i krzyż w nie ujmie, jak sztandar potężny i nim przeżegna ten świat osądzony — na znak, że Sądu straszny dzień skończony...



IX.

Zanim na wieki rozejdą się z sobą dusze z doliny onej Józafata, by każdej wedle wyroku się stało, przepędzą jeszcze z sobą dobę całą.

To ich ostatnie będzie pożegnanie.

Po ukończonym ostatecznym Sądzie cały tłum wspólnie do uczty zasiądzie na świeżą runią umajonej ziemi; złączą się wówczas żywe z umarłemi i jak na stypie ziemskim obyczajem, będą się raczyć ostatni raz wzajem. Na miękkiej wokół zasiądą murawie i niby wielki obóz się rozłożą i chwalić zaczną sprawiedliwość Bożą.

A odkąd wszelki będzie wytępiony grzech i zło wszelkie zgła-

dzone na nice, wychłódły czyściec zmieni się w zielony gaj i rozszerzą się Raju granice i wieczna wiosna zapachnie dokoła, wonność i świeżość lejąc na wsze strony; dolina Sądu drzewami zarośnie i będzie stała, jak sad okwiecony, w którym dusz ludzkich zaroi się mrowie...

Widać tam będzie olbrzymy i karły ludzkich pokoleń, co z wiekami marły, bo z wielkoludów od świata stworzenia mniejsze i mniejsze wzrosną pokolenia, bo coraz bardziej życie ich pokruszy na drobiazg wątły i marny z wejrzenia .. Zanim ostatnia Sądu doba minie, raz jeszcze Matka ludzi dobrotliwa pomiędzy dusze zgromadzone spłynie, by im swej łaski dać dowód ostatni w onej rozstania żałosnej godzinie.

Z opalowego zstąpi w dół obłoku i będzie miała łzy litości w oku i smutek wielki w oczach załzawionych, bo żal Jej będzie tych dusz potępionych.

A gdy Ją ujrzą nagle dusze one, ostatni promyk nadziei im błyśnie, co najnędzniejsze u stóp Jej ściśnie i śpiewać zacznie: »Pod Twoją obronę!...«

Więc Marya Panna, gdy tę ciżbę zoczy, wzniesie do Boga miłosierne oczy, na piersiach ręce skrzyżowane złoży i jakby w modłach zatopiona stanie, prosząc o święte w niebie zmiłowanie, ufna w swem sercu wielkiej łasce Bożej. I między tłum ów potępionych wkroczy, co wołać będą »Zmiłuj się nad nami!...« i swój królewski z ramion płaszcz roztoczy, zasiany cały złotemi gwiazdami i trzykroć dusze skazane zagarnie, a ile tylko pod Jej płaszcz się zmieści, tyle od wiecznej uchroni boleści i tylu wieczne daruje męczarnie.

A one dolę zmieniwszy rozpaczną, jak kwiaty rosą pokrzepione ranną, odżyją, wskrzesną i łkać z szczęścia zaczną:

— Błogosławioną bądź Maryjo Panno!...



III

Z NIEBA.



PO CIERNIOWEJ DRODZE.



mal. P. Stachiewicz. Meisenbach Riffarth i Co.

PO CIERNIOWEJ DRODZE

I.

Nie smuć się duszo ludzka, nie narzekaj, bo ty sierotą nie możesz być nigdy, skoro masz Ojca wiecznego w niebiesiech i Matkę Jego swoją opiekunką.

Nie smuć się duszo ludzka, nie rozpaczaj, bo kędy spojrzysz do około siebie, dokądbyś poszła na najdalsze krańce, za wszystkie morza, za najwyższe góry, wszędy obaczysz, jako z łaski Bożej ziemia się z niebem styka nieustannie...

Nie smuć się duszo ludzka, nie wątp nigdy i bądź jak słońce, jak księżyc, jak gwiazdy, jak gwiazd tych choćby najmniejsza kruszyna — źwierciadłem nieba; niech z jasności jego zawsze choć promyk w tobie się odbija, abyś świeciła choć drobną iskierką, ażeby w tobie jasno było — duszo!...

Pomnij, że gwiazdy zardzawiałe w górze, albo zmącone nadto tchnieniem ziemi, gdy już nie mogą blaskiem niebios płonąć, ani światłości niebieskiej odbijać, anioły Pańskie strącają z błękitów w przepaść bezdenną, w ciemność nieskończoną, jako rzecz marną, martwą, nieużytą...

Taki los także duszom zardzawiałym, których już żadna świa-

tłość się nie ima i żaden promyk od nich nie odstrzela i żadnym blaskiem nie zdolne nasiąknąć.

Bo dusze ludzkie winny być gwiazdami i jako gwiazdy świecić tu pospołu pośród ciemności ziemskiego padołu i w górę piąć się ciągle, jak powoje, bo z góry jasne płyną świateł zdroje a z dołu tylko mroczne idą cienie.

W dole śmierć czeka — w górze odrodzenie.

II.

W każdą sobotę musi choć na chwilę jasne słoneczko złotem okiem błysnąć, choć jeden promyk musi strzelić z nieba i spaść na ziemię niebieskim uśmiechem, by wszystkim dzieciom rozjaśnić oczęta i wszystkim matkom rozpogodzić twarze.

W każdą sobotę sam Pan Jezus każe choć odrobinę słonka rzucić ziemi, bo kiedy na niej dziecięciem przebywał, to Macierz Jego przy zdroju co rano giezłeczka prała dla Swojego Syna i sama one suszyła na słonku, aby Dzieciątko na świętą niedzielę białością szaty jaśniało w kościele.

Brała aniołów zazdrość o tę pracę, lecz się nie śmiały sprzeciwić Panience, wiedząc, że dziecku każdemu na ziemi najlepiej służą macierzyńskie ręce i żaden anioł matki nie zastąpi...

W każdą sobotę, czy zimą, czy latem, musi się słońce uśmiechnąć nad światem, by na pamiątkę Jezusowych latek błysnąć pogodą w sercu ziemskich matek.

I w wielkanocną musi też niedzielę, choćby w największą i najgorszą słotę, choćby szczeliną przez najgęstsze chmury przecisnąć z nieba swe promienie złote, by Matka Boska na różach rozpiętą, mogła wysuszyć swą zasłonę świętą.

A tą zasłoną dusz Pocieszycielka sierotkom w niebie łzy ociera z oczu i w niej na ziemię schodzi w odwiedziny, bo kiedy świat Ją cały Matką zowie, musi jak matka nad tym światem czuwać i w Swej opiece chować go matczynej.

Gdyby nie Ona, poplecznicżka ludzi, Boży gniew dawno zatraciłby ziemię dla grzechów, które Adamowe plemię, jak brzydkie chwasty od wieków rozsiewa.

Zły duch te chwasty rozplenione zrywa i rzuca w niebo z urągliwym śmiechem, jakby się Bogu chełpił ludzkim grzechem.

Ale na niebie Matka litościwa modłami swemi gniew Boży uśmierza i Swoją dłonią, gdzie może, zasłania to miejsce, w które grom kary uderza i choć ją ludzka nieprawość zasmuci, wciąż ufa jeszcze, że się świat nawróci.

Była już chwila raz zaguby bliska...

Bywało, strasznie broili ludziska i jako powódź wezbrały ich winy, bryzgając szumem i pianą pod niebo.

Świat się zepsował zbrodnią i niecnotą, duch ludzki grzęznął coraz głębiej w błoto, w człowieczych sercach lęgły się gadziny.

Za dużo było Bogu tej swawoli...

Więc jak nie wstanie ze swojego tronu, jak nie namarszczy groźnych brwi na czole, że z nich piorunów łysnęło tysiące, aż całe niebo zatruchlało drżące i wszystko żywe zmartwiało na dole!...

Nastała nagle cisza wielka, głucha.

Zlęknione niebo, trwożna ziemia słucha, a w grzmotach samych zabrzmi wśród przestworzy takiemi słowy potężny głos Boży:

— Ludzie, win waszych dopełniona miara — i wyczerpane źródło nieprawości!... chcieliście kary, więc się spełni kara; bez miłosierdzia będę i litości, na ziemię waszą srogi głód sprowadzę i grzesznych razem z grzechami ich zgładzę!...

I jak powiedział Bóg — tak było.

Wonczas strach wielki padł na ludzkie plemię; okrutna plaga stratowała ziemię, słońce ją żarem zlewało dnie całe, a niebo było od gorąca białe.

Powiędło wszystko w okół i zmarniało; nawet ździebełka trawy nie zostało, nawet listeczka na drzewach w tej suszy...

Łany i pola miały barwę płową, jak na pustyni piasek wypalony...

Znikały źródła, wysechały rzeki i koniec świata zdał się niedaleki, bo ludzie marli z głodu i pragnienia i jako suche gałęzie sczerniałe i pokręcone od suszy i spieki, padali nagle i w kurczach głodowych wijąc się strasznie, chwytali ustami spaloną ziemię zamiast pożywienia.

Pan Bóg odwrócił Swe święte oblicze i nie chciał patrzeć na męki grzeszników.

Ale patrzała Matka Boża z nieba; lica Jej zbladły, serce drżało w łonie, i żal Ją wielki zjął nad dolą ludzi, którzy głodową mieli wymrzeć śmiercią.

Patrzała z nieba smutna i strapiona, jak zalękniona gołębica biała, i nad tą ziemią na męki skazaną cichemi łzami z żałości płakała.

A mrący ludzie podnosili głowę i nagle w duszę weszła im otucha... może Bóg jęków i próśb ich wysłucha, może przebłagać da się zagniewany, bo oto każda litościwa łezka, którą uroni Królowa niebieska, spadając z góry w dół, na ziemskim prochu zmienia się nagle w drobne ziarnko grochu, a groch ten zaraz rozrasta się, pleni i ludzie przy nim wstają pożywieni i sił im nagle wraz z życiem przybywa.

— Błogosławionaś Matko litościwa!...

Bóg Ojciec spojrzy, usłyszawszy głosy, co z dziękczynieniem lecą pod niebiosy i pyta skąd się w potępionym rodzie, bierze nadziei ten głos i ta siła?... a Marya Panna przed Nim chyli skronie i rzecze, wznosząc złożone swe dłonie:

— Tom ja go łzami memi nakarmiła!...

Więc Bóg ujęty litosną ofiarą, odpuścił ludziom resztę win i kazał, by anioł Gabryel resztę kary zmazał i ziemię znowu uczynił im płodną, aby nie była więcej ludzkość głodną.

III.

Kiedy na ziemi rozkwitają sady, w rajskim ogrodzie dziatwa się weseli.

W onym to czasie dla nich radość blizka, bo wszystkie drzewa zwieszają gałęzie, na wszystkich owoc dojrzewa słodziutki; tu rubinowych wiśni pełne kiście, tam koralowych taka moc czereśni, że prawie nie znać na gałęziach liści.

Od malin całe purpurowe krzaki, a leśnych jagód wszędy dobór taki, że czego jeno zamarzy myśl dziecka, czego zapragnie dusza — ma do syta.

Najświętsza Panna, rajska sadowniczka, schodzi pod drzewa owocem rumiane; w koło Niej dzieci, jak ptasząt gromada, roją się, kręcą, szczebiocą, świegocą, garną się ku Niej, czepiają Jej szaty, z ust Jej uśmiechy, dobre słówka łowią, a wszystkie swoją Mateczką Ją zowią.

Ona im w Raju zastępuje matki, co tu na ziemi jeszcze pozostały i swą doczesną pielgrzymkę prowadzą.

Zanim po śmierci tej łaski dostąpią, że same wejdą w te rajskie dziedziny i dziatki swoje odnajdą na wieczność, Bogarodzica dla ich zmarłych dzieci jest opiekunką tam i dobrodziejką.

Do niej należy dziecięca ptaszarnia i Ona ludzkie pisklęta zagarnia, prowadzi z sobą po tym rajskim sadzie i niby ptaszkom z rozwartymi dzioby w śmiejące usta po jagódce kładzie.

Lecz od tej słodkiej biesiady dziecięcej jest wyłączone z oczkami smutnemi dziecko, którego macierz się złakomi na pierwszy owoc dojrzały na ziemi, wcześniej nim Panna Najświętsza się zjawi i sama każdy sad pobłogosławi.

Więc stoją biedne dzieci na uboczu, o których serca zapomną matczyne i łzy im płyną rzewne z smutnych oczu, i muszą cierpieć za swych matek winę. I razem z niemi Boża Rodzicielka smuci się w Raju i ma żal do matek, Ona, co wzorem była macierzyństwa i co jest w niebie Opiekunką dziatek. Aniołom stróżom poleca je zawsze i dla nich względy chowa najłaskawsze.

Bywało — dawno, dawno przed latami, Maryja Panna zeszła aż na ziemię dla takiej małej duszyczki dziecięcej, co się pod kmiecą urodziła strzechą.

Ojciec dzieciny był zamożnym gazdą i miał dobytku dużo w swojej chacie, lecz gdy mu córka na świat przyszła w żniwa, a cała wioska była przy robocie w polu, na łanach z kosą, sierpem w ręku, nie mógł na razie znaleźć kumów sobie i biadał:

— Rety!... cóż ja z dzieckiem zrobię?... święconą wodą trzeba obmyć duszę, wątłą chudzinę co tchu ochrzcić muszę!...

Poszedł pod kościół i w takiej potrzebie dziadka i babkę zgrzybiałą i starą na chrzestnych ojców zawoła do siebie.

Lecz mu wstyd było jakoś takich kumów, więc gdy im swoją dziecinę powierzył, aby ją nieśli do księdza plebana, sam szedł za nimi zdala w odległości; szedł miedzą, bokiem, a tu na kolana — gdzie spojrzy, ludzie padają przy żniwie na widok owych dziadków z pod kościoła i świętym krzyżem żegnają się kornie, i tak nabożnie pochylają czoła, jakby z monstrancyą ksiądz proboszcz przechodził...

Myślał, że mu się sam anioł narodził, bo mu mgła jakaś oczy zasłoniła i nie mógł widzieć, że z staruszków dwojga przedziwna jasność ciągle w górę biła.

Dopiero gdy mu ochrzczoną dziecinę dziadkowie znowu przynieśli do chaty, poznał, że jakiś cud się z dzieckiem dzieje.

Rodzice chrzestni ubożuchni niby, chrześniaczce swojej skrzynkę zostawili, a w onej skrzynce na wiano dziewczynce srebra i złota tyle, że go pewnie mogłoby starczyć na dar i królewnie.

Kmieć był zdumiony taką świetną gratką; przepraszał jeno, że godnie nie umie dziękować za nią; spytał wreszcie:

— Matko, kiedyż zajdziecie znowu tu w gościnę?...

A ona na to:

— Za lat siedm kumie; przez ten czas dobrze pilnuj mi dziewczyny!...

Gdy wyszli z chaty, zniknęli za progiem z dobremi słowy:

— Ostańcież tu z Bogiem!...

Po siedmiu latach przyszła Matka Boska odwiedzić chatę swej chrześniaczki małej, boć Ona z Synem staruszków postacie wzięła na siebie, aby do chrztu trzymać kmiecą dziecinę, w prostej, wiejskiej chacie, jak gdyby ludziom wynagrodzić chciała, że ongi nocleg w chłopskiej szopie miała.

Lecz kmieć był chciwy i twardego serca, dziecko swe chował srogo, bezlitośnie, wypędzał w pole — niech tam, jak chwast rośnie!... nie dbał o niego i zapomniał z laty, jakich to kumów gościł wśród swej chaty.

Chrześniaczki swojej litując się losów, wzięła ją Panna Najświętsza do siebie; w swoim pałacu własnym wśród niebiosów dała jej miejsce, i było jak w niebie kmiecemu dziecku, i mogło gdzie chciało chodzić po wszystkich komnatach swobodnie, z wyjątkiem jednej jedynej świetlicy... Ale ciekawość kusiła ją wielka zaglądnąć właśnie za one podwoje, które zamknęła Boża Rodzicielka; i ta ciekawość wzięła w sidła swoje Najświętszej Panny chrześniaczkę niepomną; złamała zakaz, zajrzała niebacznie do tej ostatniej w pałacu komnaty i zobaczyła tam... Chrystusa Pana z Piotrem i Pawłem, swoim apostołem, przy złotym stole radzących coś społem.

Za późno przyszła na dziewczynę skrucha.

Traci ten niebo, co pokusy słucha, a nieposłuszny jest Maryji Pannie.

Musiała przeto zejść znowu na ziemię wiejska dziewucha, którą Matka Boża na wychowanie do nieba zabrała, lecz by pamiątkę drogocenną miała, od matki chrzestnej wyprawę dostała, niby królewna w złotogłowiu cała.

I jak przystało na Bożą chrześniaczkę, nie była więcej w losów poniewierce, bo ją z kmiecego stanu podniesiono; — królewicz jeden oddał jej swe serce i chłopskie dziecię nazwał swoją żoną...



IV.

Najsmutniejsze na ziemi są sieroce oczy i ta łza najgorętsza, która z nich się toczy, i ta dola najcięższa, co jak skała gniecie, gdy dziecko bez rodziców zostanie na świecie.

Trudno usnąć snem wiecznym pod ziemią cmentarną, gdy do świeżej mogiły sieroty się garną, bo i w grobie płacz słychać opuszczonych dzieci i echa smutnej skargi, co ku niebu leci; łza sieroca i wieko trumienne przewierca i cierniem spada jeszcze w rodzicielskie serca...

Wie to Siedmiobolesna i boleje razem z matkami, złożonemi pod cmentarnym głazem, więc w łaskach i dobroci nieprzebrana Pani szczególniejszą opiekę ma nad sierotami.

We śnie do nich przychodzi i smutne pociesza, i o zmarłych rodzicach posyła im wieści, i troszczy się tak niemi, jak matka łaskawie, a nieraz schodzi do nich nawet i na jawie.

Bywa, że dla zbłąkanych dziatek w pustym lesie sama im wygłodzonym i smutnym chleb niesie i na kolana swoje sierotki posadzi, nakarmi i na drogę z lasu wyprowadzi.

Najczęściej w rozsochatej gdzieś lipie ukryta słodkim głosem dzieciny przechodzące wita, bo lipy ulubione Matki Boskiej drzewa,

w nich brzęczą pszczółek roje i chór ptasząt śpiewa i wonność z nich jak z leśnych płynie trybularzy, a piorun nawet liścia tknąć się im nie waży.

Więc lipa drzewo święte i błogosławione, jako królowa lasu nosi swą koronę, — a grzeszna jarzębina, choć strojna koralem, patrzy na nią z zawiścią i ukrytym żalem, bo ze wszystkich drzew Bożej Matce poświęconych, z niej jednej nie zrywają korali czerwonych i nie niosą na Zielną w pękach do kościoła, jakby pod nią czart jaki jęczał na uwięzi, bo pierwszy samobójca zwisł u jej gałęzi.

Lipa Maryji Pannie ze wszystkich drzew miła, i dlatego się w lipie ludziom objawiła.

Raz uboga sierotka pasła krówki w borze i pod lipą uklękła modlić się w pokorze; jesień chłodem już wiała, a przez gęste chaszcze tumany mgieł się snuły, jak duchy pokutne, strzępiąc o pnie i krzaki swoje szare płaszcze...

Pod lipą drżało dziecko zlęknione i smutne.

O chłodzie i o głodzie spędziło dzień cały, nagi grzbiet kożuszyna okrywała zdarta, ot — łachman wyszarzany, popruty w kawały, pod którym chude członki z zimna dygotały.

Wtedy w gałęziach lipy nagle zajaśniało, zżółkłe listki dźwięknęły niby blaszki złote i między konarami cudnie piękna Pani schyliła się, by podnieść płaczącą sierotę; zdjęła z niej własną ręką jej nędzne odzienie, a otuliła płaszczem swym i rzekła do zlęknionej dzieciny, uśmiechnięta słodko:

— Oddaj mi swój kożuszek za ten płaszcz, sierotko!...

A dziecko duże oczy wypatrzyło na nią i stało jak niemowa przed niebieską Panią, co się ulitowała nad biedną niebogą i czuło tylko, że mu dziwnie błogo i dziwnie ciepło było w okryciu tej szaty, z której świeciły gwiazdy i wonialy kwiaty...

Innym razem w noc jasną, cichą, księżycową szła niby cień świetlany przez uśpione sioło Najświętsza Panna sama drogą do kościoła.

Wtem słyszy z jednej chaty żałosne westchnienia i jakby płacz

dziecięcy pod przyzbą za drzwiami, kędy na straży psisko leżało kudłate.

Przystanęła i słucha...

Podeszła pod chatę i przez drzwi uchylone zajrzała do wnętrza.

Na golej ziemi dziecko leżało uśpione i przez sen cicho płakało a rzewnie; płową główkę na twardem ułożyło drewnie, chude rączęta splotło i tak przytulone do psa, jak szczenię porzucone w sieni spało, przez złą macochę wygnane z komory.

Matce Boskiej łzą zaszły oczy litościwe; schyliła się nad dzieckiem w takiej poniewierce i rzewnym żalem święte zapłynęło serce, więc okryła maleństwo Swą zapaską złotą i szepnęła z czułością:

— Źle ci tu biedoto!...

Potem poszła za chatę na poblizkie pole, kędy rosły po kępach, jak śnieg białe kwiatki, niby z owczego runa wyskubane płatki i zaczęła je zrywać rękoma własnemi i zbierać one puchy z posrebrzanej ziemi, a księżyc Jej przyświecał przy tem, jak latarnia. Przeczysta Panna kwiaty te zrywa i zgarnia i spieszy się, by dziecku zrobić z nich posłanie.

Wreszcie wraca do chaty i na przyzbie siada, wyściela miękkim puchem z kwiatów twardą ziemię i uśpioną dziecinę w nich lekko układa i krzyżyk święty kładzie na sierotki skronie, a ono, jak aniołek w tej pościeli tonie i przez sen się uśmiecha rozkosznie a miło, jakby mu się o matce i o niebie śniło...

A z pościółki kwiecistej takie blaski płyną i takie światło białe rozlewają kwiaty, że niby z alabastru błyszczą ściany chaty.

Otwiera oczy nagle zbudzona macocha i nie wie, co to znaczy; czy spadł księżyc z nieba pod próg jej i wysrebrzył całą sień poświatą, czy dzień jasny zabłysnął już nad całą chatą, czy jaki cud się zrobił nagle o północy?... wstaje sama i cicho wychodzi z świetlicy...

I widzi dziwne łoże swojej pasierbicy i w czarnem sercu zazdrość budzi się matczyna, jakby na nie szarańcza nagle z nieba spadła.

— Toż ma być łoże godne tego poteradła? — mówi sobie i szorstko wywleka z posłania zbudzone dziecko cudze i z chaty wygania razem z psem na podwórko. Potem bierze z zapiecka swoją własną córkę i niesie ją na puchy ułożyć błyszczące; w ciepłe, wonne wełnianki dziewczynę otula i idzie sama zasnąć w łożu po raz wtóry, pewna, że lepiej nie śpią nawet dzieci króla.

Aliści rano płacz ją budzi przy świtaniu; spojrzy, a córka płacze po takim noclegu i drży, i jęczy czegoś na swojem posłaniu...

Zamiast na puchach z kwiatu wije się na śniegu, sina, drżąca i cała do kości zziębnięta, bo kwiaty w śnieg zmieniła nocą Panna Święta, za karę, że sierotę Jej sponiewierano i razem z psem za progiem nocować kazano.

V.

Gdy w człeku serce na głaz się zatwardzi, to ostrzeżeniem wszelkiem z nieba gardzi, aż jak robaka w kamiennej skorupie srogi cios losu na wskróś je rozłupie.

Złemu do czasu zwodne szczęście sprzyja, a że swojego nigdy nie jest syty, więc się w nim zawiść, jako wąż rozwija i pełza w duszy i jad sączy skryty.

Nie wiele wzrosło z tej nauki plonu w wieśniaczej chacie u macochy grzesznej, nie wiele nocy pamiętnej przestroga zmieniła serce zaciętej niewiasty, co niedostępne przykazaniom Boga, rodziło z siewu dyabelskiego chwasty.

Obok jej dzieci własnych, poterane rosło dziewczątko w zaniedbaniu wielkiem, a ojciec drugiej folgujący żonie, patrzał na krzywdę jego obojętnie, ani się ujął, ani wziął w obronę, niby krwi własnej wróg i przeniewierca.

Ot, żal się Boże sierocego losu!...

Zawzięta wiedźma okrutnego serca wymogła na nim i prośbą, i groźbą, że przyrzekł córki pozbyć się zupełnie, by raz na zawsze mieć spokój pod strzechą.

— Będziesz ty wilkom a nie mnie pociechą! — mówił i zabrał dziewczynę do boru; zawiódł ją w gąszcze, zawiódł w puszczę głuchą i kazał zbierać jagody dzień cały — krwawe jagody, co ją zgubić miały, bo z dzbankiem chodząc po leśnym błędniku, zaszła nie wiedzieć kędy w taką knieję, że wyjść z niej cało straciła nadzieję.

Gdzie spojrzy — puszcza, gdzie podniesie oko, olbrzymie drzewa piętrzą się wysoko, gdzie tylko drżąca chce postawić nogę, wszędy jej krzaki zastępują drogę a ponad głową już nie widać nieba; jakiś szum głuchy płynie w leśnej ciszy, a w szumie owym straszne głosy słyszy:

— Marną ci śmiercią tutaj ginąć trzeba!...

Ale w dziewczęciu serce się nie trwoży, bo ufa w łaskę Rodzicielki Bożej; — bór sobie szumi, szumią sobie drzewa, a ona błądząc, »Zdrowaś Marya« śpiewa.

I usłyszała Panienka na niebie, że jakaś dusza woła Ją w potrzebie; spłynęła z góry, weszła w bór zarosły, a drzewa zaraz konary podniosły i w krąg się przed nią same rozstąpiły.

— Czegóż ty szukasz sieroto w tym borze? — zapyta Panna Najświętsza niebogi.

— Szukałam jagód, teraz szukam drogi.

— To pójdź-że za mną, a ja cię powiodę.

— Bóg zapłać Pani! — rzeknie dziewczę młode i idzie z sercem radosnem, z otuchą za Bożą Matką przez tę puszczę głuchą.

Wyszły na drogę, a tu nowe dziwo; miała noc zapaść, tymczasem dzień wschodzi, cudny się ranek na niebiosach śmieje i słońce w blasków pławi się powodzi i z brzegów nieba złoty strumień leje.

Droga w gościniec zmienia się szeroki, a po niej idą do miasteczka ludzie; w miasteczku jarmark, zgiełk, rojno, jak w ulu, moc ludu, wrzawy, i krzyku, i ścisku, kręcą się, tłoczą, rozpychają wzajem, że trudno miejsca znaleźć w tem mrowisku.

Na rynku stoi stragan przy straganie, a na nich cuda!... korale i chusty, świtki, siermięgi, szmaty kolorowe i przyodziewek wsze-

łaki dla dziewek, i moc świecideł, i kwiatów przekrasnych i poświęcanych obrazków, i wstążek, i oprawionych do modlenia książek.

Sierotce oczy iskrzą się i śmieją, stoi i patrzy, i ręce złożyła, tak ją tych skarbów cudowność olśniła.

A Matka Boska z łagodnym uśmiechem spogląda na nią z boku dobrotliwie i pyta:

— Jakżeż, dziwisz się?...

— Oj dziwię!

— Ciekawe rzeczy?...

— Bogać nie ciekawe!...

— To pójdź, wybierzem dla ciebie wyprawę.

— O Jezu! — dziewczę spłonione wykrzyka i Dobrodziejce do kolan przypada.

A Matka Boska łaski znak jej czyni i do straganów z towarem prowadzi, jedne wybiera, drugie wybrać radzi, ładować każe wyprawę do skrzyni i ciągle jeszcze coś do niej dokłada.

Wóz półtoraczny potem dla niej godzi, parę koników zaprządz zaraz każe i krówek parę oddaje na wiano, a w końcu rzecze, jak Matka do córki:

— Jedź-że mi z Bogiem do swojej zagrody i miej dobytek w pracy a bez szkody!...

Sierotka patrzy, ledwo pojąć zdoła, i łez wdzięczności ma wciąż pełne oczy; — jej wóz ładowny, że aż skrzypią koła, sam się po drodze ku domowi toczy, a Panna Święta idzie przy nim z boku i błogą dobroć ma w ustach i oku...

Kiedy pod wieczór, po słonka zachodzie sierotka z wianem wróciła do wioski, popłoch w ojcowskiej zrobił się zagrodzie; macocha patrzy i oczom nie wierzy, słucha cudownej powieści i pyta, co to za Pani, co po lasach chodzi i takie łaski świadczy pasierbicom?... Słucha i z złości aż zębami zgrzyta, że własnej córki w on las nie wysłała.

Więc w nocy z mężem potajemnie radzą, że swą najstarszą też w bór wyprowadzą, może tam spotka ową hojną Panią, co ich na-



PO GWIAŹDZISTEJ DRODZE

łaki dla dziewek, i moc świecideł, i kwiatów przekrasnych i poświęcanych obrazków, i wstążek, i oprawionych do modlenia książek.

Sierotce oczy iskrzą się i śmieją, stoi i patrzy, i ręce złożyła, tak ją tych skarbów cudowność olśniła.

A Matka Boska z łagodnym uśmiechem spogląda na nią z boku dobrotliwie i pyta:

— Jakżeż, dziwisz się?...

— Oj dziwię!

— Ciekawe rzeczy?...

— Bogać nie ciekawe!...

— To pójdź, wybierzem dla ciebie wyprawę.

— O Jezu! — dzieweczę spłonione wykrzyka i Dobrodziejce do kolan przypada.

A Matka Boska łaski znak jej czyni i do straganów z towarem prowadzi, jedne wybiera, drugie wybrać radzi, ładować każe wyprawę do skrzyni i ciągle jeszcze coś do niej dokłada.

Wóz półtoraczny potem dla niej gotów, parę koników zaprzęga zaraz każe i krówek parę oddaje na wiano, a w końcu rzecze, jak Matka do córki:

— Jedź-że ino z Bogiem do swojej zagrody i miej dobytek w pracy a bez szkody!...

Sierotka patrzy, ledwo pojąć zdoła, i łez wdzięczności ma wciąż pełne oczy; — jej wóz ładowny, że aż skrzypią koła, sam się po drodze ku domowi toczy, a Panna Święta idzie przy nim z boku i błogą dobroć ma w ustach i oku...

Kiedy pod wieczór, po słonka zachodzie sierotka z wozem wróciła do wioski, popłoch w ojcowskiej zrobił się zagrodzie; macocha patrzy i oczom nie wierzy, słucha cudownej powieści i pyta, co to za Pani, co po lasach chodzi i takie łaski świadczy pasierbicom?... Słucha i z złości aż zębami zgrzyta, że własnej córki w on las nie wysłała.

Więc w nocy z mężem potajemnie radzą, że swą najstarszą też w bór wyprowadzą, może tam spotka ową hojną Panią, co ich na-



mal. P. Stachiewicz. Meisenbach Riffarth & Co.

PO GWIAŹDZISTEJ DRODZE.

dzieje rodzicielskie ziści i dziewka wróci w dom nie bez korzyści, a potem wiano sierotki zagrabią, a ją gdzie w stawie utopią po cichu, aby raz koniec zrobić temu lichu.

I poszła tedy najstarsza ich córa błądzić po lesie i szukać pożytku.

Minął dzień cały, zaszło słońce krwawo, — dziewczyna jakoś nie wraca z wyprawą; aż ciemną nocą zaturkoczą koła, wóz się we wrota zatoczył w podwórko, wypadła matka przywitać się z córką, — patrzy, i pyta:

— Jakżeż się powiodło?... masz i ty wiano?...

— Mam wyprawę podłą, krowy chudzięta, szkapy dychawiczne, ledwie do domu dowlokły się nocą; było do lasu wybierać się po co!...

Zaklęła brzydko i z wozu się zwlekła, a w tem się konie zmieniły w brytany, krowy zaś w wilki potworne, jak z piekła, a pełne skrzynie z trzaskiem się rozwarły i rój z nich wężów wypełzał na ziemię.

I w mig macochę wraz z córką pożarły...

VI.

Gdy chłodna jesień, poprzedniczka zimy, rdzawić zaczyna swojem tchnieniem kwiaty i zwiędłe liście już z gałęzi strąca, Najświętsza Panna przez nadziemskie światy płynie w obłokach, blaskiem promieniąca...

I wonczas niebu znów przybywa krasy; zda się, że słonko w letnią kolej wraca, spłowiałe łąki, poczerniałe lasy swojem spojrzeniem czarownem wyzłaca.

Królowa niebios płynie, jako prządka i zamiast berła prostą kądziel trzyma; zanim z obłoków spadnie biała zima, Ona, jak macierz dbała o dzieciątka, idzie policzyć duszyczki niebogi, co się pod Raju ogrodzeniem tulą i upatrują smutne jakiej drogi, aby do niego wcisnąć się ukradkiem i choć najlichszym wyrosnąć tam kwiatkiem.

Wstępu im bowiem do Raju nie dają, jeśli pomarły nieochrzczone jeszcze i pierworodny grzech je dotąd plami; więc za rajskiemi kulą się wrotami i drżące z zimna wyczekują łaski.

Dla nich to Marya, Pani litościwa, cienką nić przędzie, a z tego przędziwa anioły potem tkają giezła miękkie i rozwieszają one na błękicie, niby na polu płótna bieluteńkie, by zmarłe dziatki miały z nich okrycie.

Także sierotkom nagim, opuszczonym, Mateńka Boża swej pracy nie skąpi i w dnie jesienne na obłokach przędzie.

Więc drżącym dziatkom w zimie ciepło będzie...

Błogosławionaś Ty niebios Panienko, Pani litośna i litości wzorze!... gdy przez niebieskie przepływasz przestworze, by pracowicie snuć swą nitkę cienką, i widzisz z góry, z tronu obłocznego, że tu na ziemi serca niepamiętne na ludzką nędzę patrzą obojętne, — Ty Miłosierna znieść nie możesz tego; zrywasz garść przędzy i rzucasz ją na dół, jak upomnienie swe na ziemski padół, a wiatr ją nosi w powietrzu i snuje, przed oczy ludzi zwija i rozwija i zda się splatać w tajemnicze głoski:

»Otom ja przędza samej Matki Boskiej!... dla biednych sierot snuje się z kądzieli, pomnijcie ludzie, byście litość mieli i tu sierotkom nie szczędzili serca!...«

I cienka nitka z zaziemskiego świata, co tam od nieba aż ku ziemi sięga, około ludzi sama się oplata i z sobą serca miłosierne sprzęga, a że ją Matka Boska miała w ręce, więc jak talizman szczęścia z niebios spływa; — kogo się czepi choć cząstka przędziwa, ten polecony Najświętszej Panience w dniu onym z ducha pogodniejszym bywa: takiemu jedna choć chwila szczęśliwa zdarzyć się musi w ciągu doby całej.

Gdy babie lato uśmiechnie się światu, zaraz się jaśniej człowiekowi robi i wśród jesieni ma wiosenne złudy; zanim zimowe obsypią go grudy, raz jeszcze w słońcu rzeźwiejszy się czuje...

A tylko pająk swym się jadem truje i patrzy w górę z zawiścią ukrytą, bo jego Pan Bóg skarał za zuchwałość, że taki mały miał tak wielką śmiałość Panience Świętej sprzeciwiać się kiedyś i z grzeszną dumą śmiał rozgłaszać wszędzie, że on od Maryi Panny cieniej przędzie.

Za brzydką zawiść i za czelną pychę odtąd prowadzić musi życie liche, kryć się po kątach, mieszkać po ruinach i prząść swą siatkę z marnego przędziwa, którą podmuchem lada wiatr rozrywa.

Niebiańska prządka, Pani w niebo wzięta o ludzkich sprawach na ziemi pamięta; umyślnie spuszcza długą nić z wrzeciona, kiedy jesienne rozpoczną się mroki, by gospodarnym przypomnieć niewiastom kądziel na długie zimowe wieczory i koło domu staranne zajęcia.

Więc gdy na pola pierwszy śnieg się zwali, po chatach ogień na kominach błyska, smolne łuczywo iskierkami pryska, a gdy się w płomień wesoły rozpali, w koło dziewuchy przy kominie siędą i złote pieśni z szarą nicią przędą.

A między jedną piosenką a drugą, gdy dopalonych głowien żar przygaśnie, starsza prząśniczka opowiada baśnie, to o Madeju z zbójecką maczugą, to o królewnie czarami zaklętej, to o trzech braciach co poszli na boje, a gdy wyprzędzie wszystkie bajki swoje, rzecze:

— A teraz o Panience Świętej powiem wam jedną powieść już prawdziwą, skąd mamy płótno i kto dał przędziwo.

Tu się przeżegna, jakby przed modlitwą, odepnie kądziel i wrzeciono składa i zasłuchanym dziewkom opowiada:

— Widzicie ludzie, stała w jednem siole chatynka mała pod lasem na dole; przy chatce sad był i ogrodu kawał.

Ogród warzywo, sad owoce dawał a z czarnej roli biały chleb się rodził.

W chatce kmieć mieszkał, co za pługiem chodził, z żoną staruchą i córką dziewuchą i jakoś im ta — chwalić Pana Boga — nie bardzo ciężką była w wieczność droga.

Ale kmieć stary zachorzał obłożnie, bo zły wiatr jakiś na ziemię nim śmignął; jak legł w pościeli, tak się już nie dźwignął i gdy nie było na chleb orać komu, bieda i lament zagościły w domu. Odłogiem stała niezasiana rola, u drzwi i okien czyhała niedola.

Każdy dzień gorszy dla niebożąt świtał…

Jedna dziewucha nie traciła ducha i do Najświętszej modliła się rzewnie, rano i wieczór niebieskiej Królewnie oddając ojców w opiekę i siebie.

A Pan Bóg słuchał z Matką Boską w niebie.

— »Panie Przedwieczny, wszechmogący Boże, oto niegodna przed Twym tronem stoję, nie daj nam zmarnieć, święć się imię Twoje!... ojca i matki lituj się starości, nie skąp im chleba Swego powszedniego, Tyś Pan, Tyś Mocarz, Tyś jest Król światłości, źdźbło trawy nie schnie bez rozkazu Twego, bez wiedzy Twojej liść z drzewa nie spada, jeno się pierwej Tobie opowiada. Przecież Ty nie dasz, aby bez powodu ojcowie dziecku umierali z głodu! Oto ja córka za ich życie stoję...

»Bądź wola Twoja, przyjdź królestwo Twoje!...«

Tak się bywało naprasza dziewucha, a Pan Bóg w niebie z Matką Boską słucha.

Raz — ci usnęła dziewczyna z północka, przy chorym ojcu swoim czuwająca; aż tu jej we śnie schodzi Matka Boska i białą lilią dziewuchę potrąca i rzecze do niej:

— Nie frasuj się dłużej, ja się żałości twojej ulituję i pocieszenie przyniosę ci w smutku. Spojrzyj, te kwiatki znajdziesz w swym ogródku jutro, gdy słonko zabłyśnie na niebie; modremi oczy popatrzą na ciebie, cienkiemi prątki z ziemi się podniosą i świecić będą brylantową rosą. Narwij tych kwiatków dużo, dużo, dużo, a one tobie dobrze się przysłużą i znajdziesz skarb w nich i będziesz bogata i dobrodziejstwo weźmiesz z nich dla świata!...

Dziewucha patrzy i dziwi się wielce, a nie śmie przerwać Bożej Rodzicielce i nie śmie spytać, jaki to pożytek dać mogą kwiatki z modremi oczyma, które Najświętsza w Swojej dłoni trzyma.

Na drugie rano do ogródka bieży; patrzy i własnym oczom nie uwierzy...

Kędy ci spojrzy na wczorajsze grzędy, drobnego kwiecia jakby nasiał wszędy; kwiatek maluchny a łodyżka długa kłoni się do niej

i jak żywe mruga, i zda się wołać: »A rwijże mnie żywo, jako ci Matka Najświętsza kazała!«...

Ale dziewczyna osłupiona stała, patrząc na takie niepojęte dziwo i załamała ręce, i w płacz!...

— Boże, Boże, a któż mi biednej radą dopomoże!... mam ci ja skarby pono z łaski nieba, a nie wiem, jak się zabrać do nich trzeba.

I przepłakała cały dzionek prawie.

Nocą w komorze usnęła na ławie i niby śpi to, niby jeszcze czuwa...

Naraz — o Jezu! — widzi, jak do chaty przyleciał anioł śliczniutki, skrzydlaty, a za nim drugi, a za drugim trzeci, i czwarty, piąty, i dziesiąty leci, i pełna izba robi się aniołów; naprzynosili jakichś kółek, stołów, niciianych motków, przędzy, kołowrotków i nuż się krzątać, nuż warsztat zakładać.

W mig ustawili wszystko, jak należy, a wtedy w progu u otwartych dźwierzy stanęła sama Przeczysta i rzeknie, rzuciwszy okiem pilnie na wsze strony:

— Bóg z wami!... niechaj będzie pochwalony!...

A aniołowie odrzekli:

— Na wieki!...

Potem Najświętsza, co króluje światu, podeszła zwolna sama do warsztatu i tym aniołom, co koło Niej stali — kazała, aby płótno przy niej tkali i przywołała dziewczynę i mówi:

— Patrzaj ty jeno i uważaj sobie, jako ja pasma z onych nitek robię.

I sama nitkę zadzierzgnąwszy cienką, wraz po warsztacie puściła czółenko i tkała cudne płótno przy dziewusze, ucząc ją tkactwa paluszkami swemi.

Dziewczyna przy Niej uklękła na ziemi, rączki złożyła niby mówiąc pacierz, a nad nią jaśni stali aniołowie...

Więc jako córę swoją uczy macierz, tak Matka Boża uczyła dziewczynę, jak ma hodować tę wiotką roślinę, co modro kwitnie,

a co lnem się zowie, jak ma ją potem przerabiać na przędzę a z przędzy płótno tkać równe i białe, by niem okrywać z chłodu drżącą nędzę...

Całą noc w kmiecej przesiedziała chacie litosna Pani w Swoim majestacie i aż nad ranem, gdy zapiały kury, z Swoją asystą wzniosła się do góry; dziewczyna skromnie na klęczkach została, jako lilijka pochylona biała, a że z niej córka na wzór innym była, z pierwszego płótna, co sama utkała, ojcu i matce koszule uszyła.

Bóg błogosławił dziewczęcej robocie, — robiła płótno, a chodziła w złocie...

VII.

W starym zamku na skale wysoko, nad przepaścią bezdenną i ciemną, mieszkał stary król jeden z synami, a tych synów aż było dwunastu.

Król miał córkę królewnę jedyną.

Jak szarotka rosnąca na skale, jak gwiazdeczka świecąca na niebie, jak ptaszyna lecąca w błękity, taka skromna i piękna, i cicha była króla starego królewna.

Przez bram siedm i siedm podworców zajeżdżali do zamku we swaty od sąsiednich monarchów posłowie, od rycerzy i panów koronnych, — lecz wracali bez słowa nadziei, z odpowiedzią rodzica jednaką: »Kto mych synów dwunastu zwycięży, ten mą córę dostanie w nagrodę!...«

A dwunastu junaków we zbroi pozłocistej, z mieczami w prawicach, w złotych hełmach z czarnemi piórami wiodło swatów przez bramy zamkowe i dwanaście rzucało rękawic pysznym ruchem w ostatnim dziedzińcu, — ale z posłów nikt nie śmiał się schylić, aby przyjąć to dumne wyzwanie.

I szyderczy śmiech tylko rozbrzmiewał, gdy zapadły wrzeciądze kowane i za bramą znikali swatowie...



VII.

W starym zamku na skale wysoko, nad przepaścią bezdenną i ciemną, mieszkał stary król jeden [illegible]

Król miał córkę królewnę jedyną.

Jak szarotka rosnąca na skale, jak gwiazdeczka świecąca na niebie, jak ptaszyna lecąca w błękity, taka skromna i piękna, i cicha była króla starego królewna.

Przez bram siedm i siedm podworców zajeżdżali do zamku we swaty od sąsiednich monarchów posłowie, od rycerzy i panów koronnych, — lecz wracali bez słowa nadziei, z odpowiedzią rodzica jednaką: »Kto mych synów dwunastu zwycięży, ten mą córę dostanie w nagrodę!...«

A dwunastu junaków we zbroi pozłocistej, z mieczami w prawicach, w złotych hełmach z czarnemi piórami wiodło swatów przez bramy zamkowe i dwanaście rzucało rękawic gniewnym ruchem w ostatnim dziedzińcu, — ale z posłów nikt nie śmiał się schylić, aby przyjąć to dumne wyzwanie.

I szyderczy śmiech tylko rozbrzmiewał, gdy zapadły wrzeciądze kowane i za bramą znikali swatowie...



mal. P. Stachiewicz. Meisenbach Riffarth & Co.

SOBOTNI PROMYK

Tak mijały dnie długie i dłuższe od nich jeszcze miesiące i lata, ale zucha nie było takiego, coby stanął do walki na ostre i wyrąbać chciał sobie u braci piękną siostrę na lubą małżonkę.

W starym zamku na skale wysoko, łzy płynęły nieszczęsnej królewny, a z łez śmiali się bracia szyderczo i mówili:

— Twe wdzięki i wiano jakoś mało są w cenie, za katy!... albo zbrakło odważnych rycerzy, by dać męstwa swojego dowody.

A królewna płonęła rumieńcem i spuszczała ku ziemi spojrzenia, i nie śmiała im słowem odrzeknąć, tylko z duszy wzdychała do Boga:

— Wejrzyj Panie na dolę mą smutną!... oto zwiędnąć mi przyjdzie, jak róży, porzuconej na skałach wysoko, za tym murem złocistym z mych braci, najeżonym mieczami ze stali i ich butą, ostrzejszą od mieczów!...

* * *

Bóg się losu królewny użalił, usłyszawszy jej skargę serdeczną i dwunastu jej braci przemienił w stado orłów, co wzniosło się w górę i za słońcem płynącem ku morzu o zachodu samego godzinie, uleciało ze skrzydeł szelestem...

Widząc braci lecących za słońcem, jakby jego promieńmi spętanych, jakby w sidła złociste złowionych, otworzyła ku niebu ramiona i za nimi w dal biegnąć zaczęła, i wołała:

— Czekajcież, przez Boga!... słonko nie bierz mi braci, nie porywaj ich wszystkich, gdzież mi samej pozostać niebodze!...

Orły w chmury się wzbiły coraz chyżej i wyżej, coraz dalej szybując po powietrznych rozłogach i zniknęły zupełnie jej z oczu.

Jakby skrzydła urosły królewnie, tak za braćmi orłami bieżała, aż tchu w piersi zabrakło, aż jej w oczach ściemniało, aż się w puszczy zbłąkała.

Wtedy w gąszczu błysnęły przed nią ślepia dwa krwawe i wilczysko ogromne wyskoczyło wprost na nią, kłapiąc ku niej zębami,

warcząc groźnie pytaniem: po co przyszła w tę puszczę, dokąd idzie po nocy?...

— Braci szukać! — odrzekła takim głosem serdecznym, że wilk zawył z litości, wysłuchawszy królewny.

— Siądź-że na mnie, — powiedział — to cię puszczą poniosę; chyżej staniesz u krańca tego boru ciemnego, a za borem natrafisz znów na słonko świecące, to ci może o braciach da pomyślną wiadomość...

Siadła tedy królewna ze strachem na grzbiet wilka, co litość czuł dla niej, a on pomknął przez chaszcze i krzaki, przez noc ciemną przemykał, jak strzała, świecąc sobie po drodze ślepiami.

A gdy znużył się w biegu i ustał, niedźwiedź stary nastręczył się dziewie i rzekł do niej:

— Ja ciebie poniosę w dalszą drogę, panienko — królewno!...

I kosmaty grzbiet przed nią nachylił i niósł dalej przez puszczę królewnę, aż ją doniósł do leśnej kapliczki, w której mieszkał sam Pan Bóg Najświętszy; uchylone drzwi były do wnętrza, więc się skromnie i cicho wsunęła do kapliczki królewna strwożona i zaczęła się modlić gorąco, poza progiem ukląkłszy w pokorze, aż Bóg wejrzał z ołtarza Swojego i wysłuchał jej modłów i prosby, i przywołał do siebie niedźwiedzia, co skulony przypełzał po ziemi, i rozkazał, by jeszcze królewnę zaniósł z boru do Panny Najświętszej, a już Ona tą sprawą się zajmie i przywróci rycerzom dwunastu ludzką postać na prośbę ich siostry.

* * *

Matka Boska Swą dłonią karmiła właśnie orłów dwunastu u Siebie, gdy królewnę tam niedźwiedź kosmaty przyniósł aże pod pałac niebieski.

Orły w górę frunęły spłoszone, zatoczyły trzy koła w powietrzu i zaszyły się w chmury bez śladu.

— Prośbom twoim uczynię ja zadość, wrócę-ć braci, na któ-

rych płakałaś, tylko musisz przejść próbę na ziemi i trzy lata udawać niemowę!... Ślub uczynisz przede mną tej chwili na milczenie i cichą pokorę, a na usta swe pieczęć położysz i trzy lata tak nosić ją będziesz, niezłamaną ni jękiem, ni słowem!...

Tak jej rzekła Przeczysta-Najświętsza i na ziemię jej wrócić kazała.

*

* *

Idzie cicha królewna po ziemi, idzie borem napowrót do domu, kędy ojciec pozostał samotny w starym zamku na skale wysokiej...

Weszła w knieję o świcie różowym; z gąszcza na nią wypadły ogary i ujadać zaczęły zażarcie, i rozszarpać ją chciały, jak sarnę. W kniei właśnie polował król młody z wielkim pocztem pachołków i dworzan; gdy usłyszał zdaleka psów granie, bieżał żywo za głosem ogarów i zdumiony, miast zwierza w ostępie, zoczył cudną dziewicę na drzewie, co tuliła się drżąca ze strachu wśród zielonych konarów, jak ptaszę.

Oczom własnym zaledwie mógł wierzyć, serce w piersi zaledwie mógł strzymać, tak go wdzięki królewny olśniły, tak zachwytem zapłonął od razu; do dziewoi w gałęziach ukrytej podniósł młodzian ramiona i rzecze:

— Czyś ty piękna nadziemskie zjawisko, czy bogini wśród lasów zbłąkana, czy snów moich wcielone marzenie?... z tego drzewa spłyń w moje objęcia, za podnóżek swe serce ci kładę, a do serca dodaję koronę!...

Zanim słonko do szczytu się wspięło, król z łowieckim powracał orszakiem, zaniechawszy myśliwskiej zabawy, cudną łanię prowadząc złowioną, jako zdobycz dla serca swojego.

I za żonę chciał pojąć królewnę, i do ślubu gotować się począł, lecz na dworze szmer powstał niechęci przeciw przyszłej małżonce królewskiej, bo nie chciano niemowy na tronie.

Macierz króla powzięła odrazę do milczącej synowej kaleki i nie chciała na śluby zezwolić, błogosławić związkowi nie chciała;

aby zerwać małżeństwo szalone, czarów siły użyła okrutna i podstępnie w warkocze królewny wpięła szpilkę z zaklętym rubinem, co miał własność sprowadzać sen twardy, do snu śmierci podobny zupełnie.

Zamiast godów weselnych na dworze, pogrzeb sprawić królewnie musiano.

W złotą trumnę złożono jej ciało, z kwiatów wonnych jej dano posłanie, w ślubny welon spowito uśpioną i drużbowie w żałobie ją nieśli w las zielony, na miejsce to samo, gdzie ją ujrzał raz pierwszy król młody.

Tam na srebrnych łańcuchach zawisła złota trumna z uśpioną królewną na gałęziach zielonych jawora, co się chylił nad leśnym potokiem.

* * *

Gdy jesienna nastała już pora, knieja znowu zawrzała dokoła psów szczekaniem i rogów odgłosem, znów na łowy król jeden tu przybył, a z nim orszak pachołków i dworzan.

Polowali dzień cały do zmroku, a gdy z łupem łowieckim wracali przy pochodniach, nad brzegiem potoku złota trumna błysnęła im w oczy.

Stają, patrzą i oczom nie wierzą...

Król przystanął pod dziwnym jaworem, wieko trumny otworzyć rozkazał i przy blasku pochodni oglądał cudne wdzięki umarłej dziewicy.

— O ty śmierci nikczemna, okrutna! — wołał bólem przejęty i żalem, — jakże śmiałaś podcinać swą kosą taką lilię na ziemskim padole, którą chyba z rajskiego ogrodu anioł jakiś przesadził na ziemię?!...

W zachwyceniu na białem jej czole pocałunek chciał złożyć i zlekka martwą głowę na dłoni swej uniósł; wtedy warkocz królewny uśpionej spłynął z trumny, a szpilka zaklęta z jasnych włosów wypadła na ziemię i sen prysnął, jak bańka mydlana.

I zbudzona królewna podniosła mocą czarów zamknięte powieki a król z krzykiem radości dziewicę chwycił w swoje objęcia i wołał:

— Pocałunek mój życie ci wrócił, więc bądź moją, bom śmierć twą zwyciężył!...

I z orszakiem swych dworzan, królewnę w złotej trumnie, jak dziecko w kolebce, niósł przy śpiewach wesołych i przy rogów muzyce, i przy świetle pochodni przez szumiący bór nocą...

* * *

Radość była na zamku królewskim i w królewskiej stolicy u ludu, kiedy wieść się rozniosła dokoła, że pan znalazł małżonkę dla siebie, pocałunkiem cudownie wskrzeszoną.

Tylko macierz królewska zawistnie troski chmurą swe czoło okryła i nad zgubą myślała synowej przez dnie całe i noce niespane.

Minął jeden rok długi szczęśliwie, minął drugi i trzeci tak samo; z każdym rokiem król bardziej miłował swą małżonkę, milczącą niemowę, chociaż słowa z jej ust nie usłyszał. Jedną radość co roku miał wielką, jeden smutek co roku miał ciężki: troje dziatek już niebo im dało, królewiątek już troje-by mieli, gdyby każde, jak kwiatek złamany, nie więdniało przy piersi matczynej.

Stara macierz królewska z zawiści do synowej wnuczęta swe truła, a synowi na ucho szeptała:

— Wiesz, kto śmierci twych dziatek przyczyną?... oto z pewnych jam znaków poznała, że twa żona jest strzygą okrutną, ona z dzieci krew świeżą wysysa, bo na ustach jej krwawe są ślady!... spojrzyj rano, gdy ze snu się budzi, znajdziesz plamy, co przeciw niej świadczą.

Król się zatrząsł od wstrętu i grozy; nie śmiał matce swej kłamu zadawać, więc małżonkę przed sędziów powołał i sąd złożył surowy i kazał, by sądzono jej zbrodnię mniemaną.

Stała smutna, milcząca ofiara, nie wyrzekłszy ni słowa jednego,

pomna ślubu dla braci zbawienia i nie rzekła na swoją obronę nic, choć serce jej z bólu pękało, choć na usta jęk rwał się rozpaczny.

Stała niema, jak posąg boleści.

* * *

— Pod katowski miecz głowę dać winna!...

Taki wyrok wydali sędziowie i niezwłocznie z przed sądu ją wiedli na stracenie, jak dziecio-bójczynię.

Szła milcząca i wargi swe gryzła, by nie jęknąć i ślubu nie złamać, a lud wołał po drodze:

— O, patrzcie!... krew ma jeszcze na ustach niestartą niewiniątek, co z życia wyssała!...

I padały przekleństwa na głowę potępionej przez sędziów ofiary, odepchniętej przez męża małżonki, oskarżonej przez świekrę synowej.

A gdy przyszli na miejsce stracenia, kat z pod płaszcza miecz wyjął olbrzymi i na słońcu nim błysnął w powietrzu; miecz zasyczał, jak żmija rozżarta — co z wściekłością chce ugryźć i kąsać i już spaść miał na szyję królowej, kiedy nagle rozpękła się ziemia, — z głuchym, strasznym rozpękła łoskotem, a z czeluści tej wyszła świetlana, cudna postać Maryi Dziewicy, w długim płaszczu, w koronie gwieździstej... Jedno dziecię na ręku trzymała, dwoje innych tuliło się do niej, rączętami czepiając się szaty. Groźnem okiem spojrzała dokoła, a po tłumie dreszcz przeszedł, jak mrowie i kolana się pod nim złamały...

Matka Boska z niebieskiej wyżyny sama zeszła świadectwo dać cnocie.

— Czyliż zawsze przez ludzką ślepotę sprawiedliwy ma cierpieć na ziemi! — rzekła smutnie a groźnie Najświętsza; — precz odstąpcie od waszej ofiary!... ona ślubem milczenia związana nie śmie mówić na swoją obronę, lecz ja za nią wam mówię: niewinna!... Oto dziatki oddaję-ć twe znowu i z ust twoich tę pieczęć zdejmuję i twych braci dwunastu wyzwalam.

A królowa-niemowa upadła do stóp Maryi z dziękczynnym pokłonem i jękneła raz pierwszy z zachwytu; z głębi serca i z duszy ścieśnionej jeden wyraz się wyrwał z jej łona:

— Błogosławiona!...

Z nieba orłów zleciało dwunastu i dokoła swej siostry stanęło i znów postać rycerzy przybrało w złotych zbrojach, na słońcu błyszczących; z chrzęstem mieczów ugięło kolana przed Maryją Dziewicą królową i rycerskie Jej hołdy oddało.

Lud się żegnał i płakał z radości i nabożną odmawiał litanię, a król tulił w objęciu małżonkę i królewiąt swych troje przyciskał, i dziękował Najświętszej gorąco; — tylko macierz królewska za karę, że synowę swą zgubić pragnęła, stała głucha i ślepa, i niema, jako kamień bez czucia i głosu...

VIII.

Pobrało się raz dobrych ludzi dwoje i było im nie źle na świecie, tylko dziecka nie mieli — pociechy im zabrakło; więc wzdychali przy każdej modlitwie i Panu Bogu się skarżyli, że im w chacie jest pusto i że smutno im będzie, kiedy starość nadejdzie i gdy śmierć im powieki zawrzeć przyjdzie w ostatniej godzinie.

Bo i jak to żyć długo bez dziecka i bez dziecka umierać!... mieć życie bez osłody a grób niepłakany!... czy to warto żyć tylko dla siebie — nie dla kogo, co sercu najbliższy?...

Stała w lesie kapliczka, a w kapliczce figura Matki Boskiej z Jezusem na ręku; poszło do niej małżeństwo i uklękło na progu i zaczęło się modlić ze łzami:

— Matko Boża, ulituj się!... Matko Boża, a zmiłujże się!... Matko Boża z dzieciną na ręku, spojrzyj na nas i nie skąp pociechy, będziemy Cię chwalić do dni naszych ostatka i służyć Tobie wiernie i wielbić Cię usty i sercem aż do skończenia!...

Przynieśli kwiatów polnych i zielonych gałązek, umaili kapliczkę, uwieńczyli figurę, zapalili trzy świece woskowe i odeszli do



VIII

Pobrało się raz dobrych ludzi dwoje i było im nie źle na świecie, tylko dziecka nie mieli — pociechy im zbrakło; więc wzdychali przy każdej modlitwie i Panu Bogu się skarżyli, że im w chacie jest pusto i że smutno im będzie, kiedy starość nadejdzie i gdy śmierć im powieki zawrzeć przyjdzie w ostatniej godzinie.

Bo i jak to żyć długo bez dziecka i bez dziecka umierać!... mieć życie bez osłody a grób niepłakany!... czy to warto żyć tylko dla siebie — nie dla kogo, co sercu najbliższy?...

Stała w lesie kapliczka, a w kapliczce figura Matki Boskiej z Jezusem na ręku; poszło do niej małżeństwo i uklękło na progu i zaczęło się modlić ze łzami:

— Matko Boża, ulituj się!... Matko Boża, a zmiłujże się!... Matko Boża z dzieciną na ręku, spojrzyj na nas i nie skąp pociechy, będziemy Cię chwalić do dni naszych ostatka i służyć Tobie wiernie i wielbić Cię usty i sercem aż do skończenia!...

Przynieśli kwiatów polnych i zielonych gałązek, umaili kapliczkę, uwieńczyli figurę, zapalili trzy świece woskowe i odeszli do



nach P. Stachiewicz. Meisenbach Riffarth & Co.

domu z otuchą, bo zdało im się, że widzieli wyraźnie, jak się Jezus maleńki do nich błogo uśmiechnął i spojrzał na Matkę swą prosząco.

*
* *

Wysłuchane były ich modły; Matka Boska dała im córkę, i to taką, że cały świat mógł jej pozazdrościć — drugiej takiej na ziemi nie było ani przedtem, ani potem.

Miała dziewczka złote włosy, miała oczy, co płakały perłami, miała usta, co różami się śmiały, aby poznać było, że jest u samej Matki Boskiej wyproszoną córką.

Rodzice jej nie posiadali się ze szczęścia i radości. Bywało, wśród najsroższej zimy dziewczyna się uśmiechnie, a tu świeżuteńkie i pachnące róże z ust jej spadają; pereł mniej było, bo i do łez nie było powodu.

Za to, co jej narosły bujne złote włosy, to je matka przystrzyże, ojciec zaniesie do złotnika w mieście i srebrniaków bitych pełny trzos za nie przynosi.

Dziwowali się ludzie w okolicy i zazdrościli.

*
* *

Pewnego obrażnika syn wymalował dziewczynę na płótnie i poszedł w świat, zabrawszy obraz ze sobą, a gdzie jeno przyszedł, wszędy na tę malowaną patrzali, jak na cud jaki i wierzyć nie chcieli, żeby taka piękność istniała i żywą była.

Klął się na duszę i na honor, że jest i że ją Matka Boska rodzicom podarowała na pociechę, więc dlatego podobną jest sama do aniołów niebieskich i do róż, które kwitną w jej uśmiechach, i do pereł, które z płaczących jej oczu spadają, a kto ją posiędzie — mówił — skarb będzie miał bez ceny, bo nieprzebrane wiano samych bogactw ma w oczach i włosach.

Dowiedział się o tem nawet sam król w stolicy; kazał mala-

rza sprowadzić i obraz sobie pokazać, a gdy go ujrzał, aż z tronu wstał i uklęknąć chciał przed taką pięknością, i odtąd dnia nie miał wolnego od myśli o tej złotowłosej dziewczynie, ani nocy spokojnej nie miał.

Rozkochany był tak, że wzdychał i płakał bez ustanku z tęsknoty wielkiej i o życie oraz umysł jego była obawa.

Zdjął koronę z głowy, bo mu ciężyła; odłożył berło, bo mu zawadzało, zrzucił płaszcz purpurowy, bo go uciskał na ramionach i stał tylko przed obrazem, za który malarzowi zapłacił tyle dukatów, ile się jeno na obrazie zmieściło.

Aż nareszcie wysłał poselstwo z dworzan swych najcelniejszych, aby odszukali rodziców dziewczyny, prosili o jej rękę i sprowadzili mu ją do stolicy na żonę.

*
* *

Posłowie pojechali, znaleźli rodziców złotowłosej dzieweczki i żądanie króla im objawili.

— Czy to wam Matka Boska córkę darowała? — spytali ojca.

— Z Bożej łaski i Matki Najświętszej zlitowania mam córkę — odpowiedział.

— Więc niech ją matka zaraz zabierze i jedzie na dwór królewski. Szczęśliwy dom wasz i godzina, w której weszliśmy w progi wasze!... Córa wasza zostanie królową.

Powiedziawszy to, odjechali, aby zanieść władcy swemu radosną wiadomość, że już niebawem ujrzy marzenie swoje własnemi oczyma.

A w domu został przyszły teść królewski i posmutniał, bo nie miał z kim tej radosnej nowiny podzielić; pierwsza żona jego już w grobie leżała i pociechy tak wielkiej Bóg jej dożyć nie dał, a druga, którą pojął, miała własną dziewuchę i tę więcej kochała, — dla pasierbicy — jako macocha, nie mając nawet resztki serca, co jej z miłości dla rodzonej córki zbywało.

Poszedł jej jednak życzenie króla oznajmić i kazał do drogi się gotować, jak przystało.

Macocha aż się zatrzęsła wewnątrz cała, gdy usłyszała o losie, który przypadł w udziale nie jej ukochanemu dziecku.

— Niedoczekanie twoje! — pomyślała i zaraz sobie cały plan ułożyła, jak króla podejść, pasierbicy się pozbyć, a swoją córkę na tron posadzić.

Zabrała obie tedy do stolicy; wsiadły do karocy zamkniętej i pojechały, a za niemi przez całą drogę róże padały na gościniec, bo złotowłosa śmiała się z radości i szczęścia, spoglądając z powozu na świat Boży, który jej się tak pięknym wydawał, jak nigdy.

* * *

Pod noc się miało, gdy wjechały w gęsty bór, co się rozciągał aż pod sam zamek królewski; wtedy okrutna macocha własnemi rękoma wydarła jedno, potem drugie oko pasierbicy i oślepioną zostawiła samą w lesie na pożarcie zwierzętom dzikim.

— Padliną będziesz dla kruków, nie królową! — mówiła i z córką pojechała dalej na dwór królewski, aby ją podsunąć królowi zamiast złotowłosej dziewczyny.

Chociaż to północ była, gdy stanęły w zamku, król sam we własnej osobie z całym orszakiem rycerzy i panów dostojnych czekał u bramy zamkowej przybycia ukochanej, którą znał tylko z obrazu.

Paziowie otwarli drzwiczki u karocy, król podszedł, aby wysadzić matkę z piękną córą i przycisnąć do stęsknionego serca swą oblubienicę, ale rzuciwszy okiem na nią, cofnął się zmieszany, na twarzy jego zawód się malował, czoło gniewem sfałdowało, usta skrzywiły się niesmakiem.

— To nie ta, to nie dziewczyna z obrazu! — zawołał — gdzież ona?... gdzie ukochanie moje?... Kto tu śmie naigrawać się z mej woli?... Kto wy i po co?...

Odwrócił zagniewane oblicze i z wzrokiem płonącym, z ustami drżącemi odszedł ku marmurowym schodom; na schodach zgięci

wpół dworzanie stali, z przerażeniem czekając, rychło po błyskawicach pańskiego gniewu i gromy spadać zaczną.

* * *

A w lesie dziewucha srodze pokrzywdzona płakała noc całą i błądziła, siejąc perły na ziemię; drzewa zabiegały jej drogę, krzaki chwytały ją za suknię, suche gałęzie nóg jej się czepiały, nie widziała nic przed sobą, tylko czarną, okropną pustkę, w której się dusza jej tłukła, jak ptaszę po klatce.

Zdało się, że wszystkie róże powiędną już po wieki na jej usteczkach i że się one nigdy nie uśmiechną więcej w tem życiu.

Ale inaczej Bóg zarządził.

O świcie leśnik stary, godzinki odmawiając, szedł obejrzeć poręby i na polanie zoczył dziewczynę, siedzącą na zwalonym dębie, a dokoła niej na mchu drobnych pereł, jak prosa, mnóstwo.

Podszedł bliżej, w oblicze jej zajrzał i zdrętwiał ze strachu i grozy.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — zawołał, zobaczywszy na twarzy dziewczęcej duże rany, głębokie, krwawe, okropne, z których patrzała ślepa rozpacz i boleść, zamiast żywych oczu.

— I ja go chwalę! — szepnęła nieszczęsna, a potem głos ludzki, głos dobrego człeka poznawszy, jęła mu się żalić na swą dolę.

Zabrał ją do chaty swojej, przygarnął, jak sierotę, krwawe znamiona kryniczną wodą obmył, ziołami święconemi wygoił i trzymał dziewczynę znalezioną w lesie u siebie przez tygodni kilka.

A ona ślepa wdzięczną mu była, cicha, milcząca, spokojna, tylko smutna, jak białe brzozy, co nad mogiłami rosną...

* * *

Łzy jej po jednej spływały perłami z owych dołów pustych, w których dawniej oczy miała; więc leśnik stary te perły zbierał

i chował, a potem gdy tego na kilka sznurków napłakała, znizał na jedwab i do kościoła zamkowego zaniósł i Matce Boskiej Pocieszającej na złożonych rękach zawiesił.

— Wszechmogąca pani, — mówił przy tem — ulituj się krzywdy sierocej, wejrzyj Ty na biedotę ślepą, co Twej jasności już nigdy oglądać nie ma, za żywota swego!...

Pomodliwszy się szczerze i gorąco, przeżegnawszy nabożnie, wstał z klęczek i wyszedł z kościoła.

Drogą przez las wracał tą samą, co wiodła do zamku królewskiego, na której zbrodnię okrutną spełniła macocha, gdy z córką i pasierbicą na dwór jechały...

Szedł z głową spuszczoną, zadumany i myślał, jako w ludziach serca bywają gorsze od krwiożerczych bestyi; aż oto w trawie przy drodze błysnęło mu coś niebieskiego, jak turkus, — przystanął, spojrzał i zobaczył dziwo!... Oko ludzkie, wyłupione oko niebieskie patrzało na niego z ziemi pomiędzy paprociami, a nieopodal drugie zdawało się mrugać nań z pod szmaragdowych liści pod dębami.

Serce mu zabiło, jak kukułka leśna, z radości.

Podszedł bliżej i schylił się; podniósł te oczy, które leżały tam od owej nocy strasznej i zabrał z sobą, nie wątpiąc, że to jego złotowłosej kaleki oczęta są, a potem ile sił starczyło starym nogom, do domu powrót przyśpieszył.

W domu tylko ślepej dziewczynie oczy przytknął do pustych dołów — zaraz w nie same wskoczyły i przyrosły, zaraz też przejrzała i z ust jej róże szczęścia, a z pod powiek perły radości posypały się jednocześnie.

— Widzę, widzę, widzę!... — wołała tylko i ramiona w niebo wznosiła, jakby chciała słońce uściskać za to, że znowu dla niej zaświeciło.

Wybiegła do lasu, aby mu się napatrzeć i nacieszyć; pełną duszę wesela miała, pełne usta śmiechu i pieśni, pełne oczy nieziemskiego blasku...

* * *

A po lesie w tę porę właśnie chodził młody król w smutnej zadumie, z głową zwieszoną, stroniąc od ludzi, od zgiełku dworzan, od całego świata; za nim w przystojnej odległości szło trzech giermków ślicznych, gotowych na króla rozkazy.

Król szedł przed siebie i na nic nie zważał; myślał o pięknej złotowłosej dziewczynie z obrazu, w której się dusza jego rozmiłowała.

Wtem piosnkę posłyszał w lesie... Ptak — nie ptak śpiewa?... Spojrzał, skąd pieśń płynęła i zobaczył dziewczę młode, w białej płótniance, w płaszczu z włosów złotych, co aż po kostki jej sięgały, w leśnych dzwonkach i koralach z kaliny, z podołkiem pełnym róż najświeższych.

Skinął na giermków:

— Sprowadźcie mi to dziewczę dziwne!... jeśli nie jest boginką, czy nimfą leśną, czy najadą, czy przywidzeniem mojem, — sprowadźcie!...

Giermkowie wskok stanęli przy dziewczynie, za ręce ujęli, do króla wiedli zestraszoną.

Po licach jej perły się toczyły...

Król jeno spojrzał, struchlał z podziwu a potem spłonął, jak polne maki.

— Tyżeś to?... tyś dziewczyna z obrazka!... — zawołał, tyś ukochanie, tyś tęsknota moja!...

I w ramiona ją chwycił odrazu, jak spłoszoną gołąbkę, aby odlecieć odeń więcej nie mogła... Musiała mu wyznać wszystko i opowiedzieć swe przygody, nie mogła niczego zataić przed nim. Patrzał w jej oblicze i słuchał; musiała jedną rzecz po dwakroć powtarzać, bo zapatrzony w nią, na słowa nie zważał i wątek mu się urywał.

— Teraz tyś moja, szczęsna dola nasza! — rzekł w końcu.

Jednego giermka po leśnika posłał, drugiego przodem do zamku, aby dwór się gotował na przyjęcie pani, trzeciego z rozkazem pchnął, aby macochę z córką pod straż wzięto, a samowtór ze swoją umiłowaną szedł lasem i kłaniały im się drzewa, chwiały gałęziami, niby zieloną chorągwią na ich drodze, szumiały, jak na: vivat!...

Ptaszęta leśne zlatywały gromadą nad ich głowy i śpiewały hejnał.

A król tylko w dziewczynę patrzał, co pewien czas przystawał, aby jej złote włosy, to oczy błękitne, to usta różane całować...

Z całego świata sprosił gości na wesele, macochę złą za karę końmi na rozstajnych drogach dla przykładu rozszarpać kazał, Matce Boskiej, co mu taką małżonkę dała, postawił posąg ze złota i alabastru, a królowa go w róże i perły stroiła.

IX.

Najświętsza Panna dobrze czyni, całemu światu gospodyni, Najświętsza Panna stadła łączy — wspomagajże ją Bóg Wszechmogący!...

Gdy tu dwa serca przylgną z sobą, gdy się dwie dusze zrozumieją, w szczęśliwą drogę szczęsną dobą wiedzie je miłość wraz z nadzieją, — w niebie tam stało zapisane, że się na ziemi spotkać mają...

Wszystko, co trwa i co się zmienia, z Bożego idzie przeznaczenia.

Komu tam było przysądzone, znajdzie bogdankę tu i żonę, a gdy po Bożej weźmie woli, dnie będzie miał błogosławione i w chacie jego ład zagości, i drogę życia swą okwieci, i zazna szczęścia i radości przy boku żony swej i dzieci; lecz komu Bóg nie błogosławił, napróżno dom swój ten wystawił, rozprzęgną mu się domu węgły i będą się w nim gady lęgły; na progu jego siądzie bieda, — nie zazna szczęścia sam i nie da.

Więc niech się człowiek serca pyta i niech się Boga dobrze radzi, nim do ołtarza zaprowadzi dozgonną połowicę swoją, co ma mu szczęścia być ostoją.

W niebie z soboty ku niedzieli cudna woń róż i lilii bije; Maryji znoszą je anieli, a Ona z kwiatów wianki wije i ogrodniczka Boża, z wieńców szle dary Swe dla oblubieńców.

Że czystych dziewic jest królową, wie o tem niebo, ziemia cała; choć Matką była Chrystusową, została, jako lilia biała, gdy się już ciałem stało słowo...

Więc ku niej z ziemi pieśni płyną, w dziewiczy wieczór narzeczonych, gdy płaczą druchny nad dziewczyną i plotą wianek z rozmarynu, z kaliny, ruty i zielonych listków barwinku pannie młodej; więc ku niej oczy wznosi dziewa, gdy łzami krasne liczko zlewa i na kolanach w swej komorze modli się, aby Matka Boża, co ludziom szczęsną dolę stwarza, Sama ją wiodła do ołtarza i na weselne przyszła gody poblogosławić pannie młodej.

* * *

Najświętsza Panna stadła łączy i jasną dolę im rozdziela; bez Niej nie byłoby radości, bez niej nie byłoby wesela, gdyby choć słonka promyk złoty od siebie nie przysłała w gości do owej wybielonej chaty, z której dziewuchę biorą swaty.

— Mam ci ja pieniądz z Matką Boską, — mówi dziewczynie narzeczony — mam ci ja pieniądz poświęcony, com go na szczęście chował sobie, z niego obrączki ślubne zrobię i przyjdę po cię z całą wioską, i do kościoła pojedziemy, i przed ołtarzem ślub weźmiemy, i szczęsną dolę mieć będziemy!...

Ugną się stoły pod biesiadą, na stołach jadła moc nakładą, w co tylko chata jest bogata, dla gości choć z całego świata!...

Zawiodą druchny pieśń wesołą, a starsi czarkę puszczą w koło, a młodzież z sobą pójdzie w tany i podkówkami dziarsko dźwięknie, że aż pod niemi ziemia jęknie.

Swachy po kołacz pójdą biały, co go w komorze pokrajały, weselny kołacz wypieczony i w rajskie gąski ustrojony, dziewiczą kosą opleciony, a woniejący na wsze strony.

* * *

Witajże, witaj korowaju, przysłali ciebie tutaj z raju, boś ty pieczywo Boskie przecie, jedyne na całutkim świecie!...

Sam Pan Bóg ciebie miesił w niebie, abyś rósł pulchny, wonny, biały; anioły wody dolewały, czerpały z zdroju wodę świeżą, a Chrystus z chustą stał nad dzieżą i Sam okrywał cię Swą dłonią. Przy Nim przeczysta Panna stała i tej robocie przyświecała...

Pięć gwiazd paliło się nad tobą, pięć gwiazd szczęśliwych się roztliło, by z łaski Bożej nowożeńcom i z łaski Maryi jasno było.

Korowaj to gościniec z nieba, szczęście i siły z tego chleba, więc go wy swachy żywo krajcie, weselnym gościom rozdawajcie!...

Ty Panie Boże nasz, Bożeńku, wnijdź-że do chaty między swaty, usiądź za stołem z nami społem; Ty Matko Boża wnijdź-że drzwiami i dobra Pani bywaj z nami, na pierwszem miejscu siądź przy stole, daj pannie młodej dobre słowo i zrób krzyżyczek nad jej głową i daj na wiano dobrą dolę!...

X.

Smutno sierocie jest na świecie, choć się i szczęście jej przydarzy; czy troska jaka serce gniecie, czy uśmiech zjawi się na twarzy, lżej jest na duszy i weselej, gdy łzę czy uśmiech z kim podzieli.

A na cmentarzu pod mogiłą z żalu ojcowskie płacze serce i jeszcze z trumny się wyrywa i tęskni w grobu poniewierce, i wyrwaćby się z niego chciało, choć w proch się sypie kość i ciało, by choć na chwilę krótką, jedną, zobaczyć swą sierotę biedną, gdy w ślubny wianek ustrojona przed ołtarz Pański pójdzie ona.

W grobie się ojciec taki skarży, i tak się prosi Pana Boga, złożone na krzyż mając ręce:

— »O dolo, moja dolo sroga, za mąż tam idzie ma nieboga, a ja w czyścowej leżę męce i nie wiem, kogo jej wybrali, czy dobry posag dziewce dali, czy sieroteńka się nie żali!...

»Puść Ty mnie Boże mój, Bożeńku, niech się zawlokę pomaleńku, niech choć do chaty okiem rzucę, a potem znów na cmentarz wrócę!...

»Niech z czarną chmurą ja polecę, niech z błyskawicą choć zaświecę, niech z drobnym deszczem chociaż spłynę, lub niech mnie

weźmie słonko jasne, bym chociaż spojrzał na dziewczynę i zoczył w dniu tym dziecko własne!...

»Trudno mi z grobu tego dociec, a jam to ociec przecie, ociec!...«

Gołębim głosem z żalu grucha, a śmierć na grobie siedzi głucha i choć na litość jej się zbiera, mogiły ojcu nie otwiera.

* * *

Była sierota jedna śmiała, co aż do nieba wędrowała; weszła pod bramę marmurową i stała tam z zwieszoną głową i długo tak pod progiem stała, aż Bóg ją spytał: czego chciała?...

A ona na to:

— Boże, Boże! przychodzę prosić na wesele.

I nuże błagać Boga czule, aby jej przysłał choć matulę, jeżeli sam już znijść nie raczy; więc Pan Bóg spojrzał dobrotliwie i rzecze do niej słów nie wiele:

— I sam nie przyjdę, i matuli wrócić na ziemię nie pozwolę, ale ci przyszlę na wesele szczęście i przyszlę dobrą dolę!...

* * *

Nie zawsze jednak, o!... nie zawsze taką odmowę Pan Bóg daje, i przez umarłych ciemne kraje za wielką łaską Maryi Panny nieraz zbiedzona dusza znajdzie drogę na ziemię, gdy potrzeba przynieść pociechę komu z nieba, albo przestrogę innym rzucić...

Przez grób jej wolno przejść i wrócić.

Było raz tak, że pod mogiłą w trumnie leżała matka jedna, śmiertelnym snem zmorzona wcześnie; sześcioro dziatek zostawiła...

Sierocy płacz słyszała we śnie i płacz ten w grobie ją obudził.

Słucha i słyszy w jednej chwili, że tam najmłodsze jej dzieciątko po nocy coś żałośnie kwili i że sierotki jej się żalą.

Jakżeż to matce słuchać w grobie i nie zapłakać choćby w trumnie!...

Więc ona żalem wielkim zjęta, dźwignie swe wyschłe martwe ręce z świętym obrazkiem Maryi Panny i tak Przeczystej się Panience modlić zaczyna:

— »Panno święta, wszakżeś Ty także matką była, wszakżeś kochała Swego syna, więc męką jego wskróś przejęta, wiesz, co to boleść jest matczyna. Tam się dziateczki moje skarżą, aż tu ich płacz mnie w grobie budzi, tak lamentują w swej niedoli... Uproś Panienko Swego Syna, niech mi odwiedzić je pozwoli!...

»Wszakżeś Ty dziatek mych patronką, ulitujże się smutku mego, zanim na niebo wejdzie słonko — znijdę do grobu znów ciemnego, tylko mnie puść, ach puść do dzieci!... niech je utulę chociaż trochę, niechaj upomnę złą macochę, — tylko mnie puść, ach puść do dzieci!...

Podparła wieko całą siłą, aż jej się samo otworzyło i wyszła z grobu o północku.

Przeszła przez wioskę po ciemności; psy jednak wiejskie ją poczuły i wyć zaczęły...

Idzie, idzie... doszła pod chatę wreszcie swoją, gdzie pod oknami malwy stoją i kędy stara grusza rośnie.

A z chaty dzieci jęk żałośnie na cichą nockę się wykrada.

Poznała chata ją mężowska, poznały wrota i dla zmarłej na ścieżaj same się rozwarły i skrzypiąc, jęły opowiadać nieboszczce o jej dzieci losach.

I stara grusza ją poznała, co stała tuż przy starych wrotach i także szmerem smętnym, cichym opowiadała o sierotach.

Weszła do izby zmarła matka, jakby cierniową przyszła drogą...

Spojrzy... na słomie jej sieroty z głodu i chłodu spać nie mogą.

Księżyc się przebił poprzez chmury i zalał blaskiem izbę całą.

Tylko stanęła w samym progu, najmłodsze dziecko ją poznało i wyciągnęło swe rączyny i chciało do niej pełzać samo, a inne z lękiem i nieśmiało wołały na nią: Mamo, mamo!...

A kiedy z nią się oswoiły nuż przed nią żale swe rozwodzić...

najmłodsze nie umiało chodzić, średnie dzień cały głodne były, najstarsze pacierz zapomniało, a wszystkim źle, oj źle się działo!... Wyschłe rączęta, jako wióry, sześcioro wzniosło ich do góry i bose, nagie, głodne, drżące ku niej garnęło się płaczące.

Taki ją przejął żal okrutny na widok tej gromadki smutnej, że odwróciła oczy łzawe i osunęła się na ławę; od łez nie mogła rzec i słowa.

Dopiero po niejakiej chwili, ocknęła się w niej znowu siła; więc wpierw najmłodsze nakarmiła i jako za żywota swego, jadła dziateczkom nawarzyła, główki czesała, liczko myła, a potem klękła z niemi razem, by zmówić pacierz przed obrazem i Boga pięknie przeprosiła, że te biedoty zapomniały modlić się bez niej przez rok cały.

— I odpuść Ty nam nasze winy! — mówiła, płacząc rozżalona, a za nią słowa te dzieciny szeptały, tuląc się do łona matki, co przyszła w odwiedziny z ciemnego grobu do ich chaty...

Za męża też się pomodliła, aby mu winy Bóg przebaczył i w łasce Swojej mieć go raczył.

Tak utuliwszy sierot szlochy, poszła do łoża złej macochy i ze snu ją zbudziła sama... ta oniemiała z przerażenia.

Mówiła jej:

— Patrz, to ja stoję!... ja, matka, z grobowego cienia przyszłam do twego rzec sumienia: »Kobieto, szanuj dzieci moje!...«

Spojrzała smutno i surowo, skinęła potem ku niej głową i w drzwiach zniknęła ciemnej sieni.

A na podwórku psy zawyły...

Macocha spojrzy ledwo żywa — patrzy, a oto przed nią spływa w miesięcznym blasku Matka Boża i staje sama u jej łoża i w takie słowa się odzywa:

— Pomnij na nocy tej przestrogę, zmień serce, bowiem mówię tobie, że w dzieciach krzywdzisz matkę w grobie!... Zmień serce!... więcej rzec nie mogę.

* * *

Zniknęła jasność i widzenie, noc swoje znów zasłała cienie i tylko psy zdaleka wyły.

Duch matki wracał do mogiły...



XI.

Pani dobroci pełna i miłości, każdy czyn dobry i każdą zasługę, którą człek bliźnim w Jej imieniu składa, czemś lepszem jeszcze nagrodzić mu rada.

Był kmieć niektóry, prosta, jasna dusza, pokorny Bogu, a ludziom oddany; biednemu gotów oddać pół sukmany, głodnemu chleba od ust nie poskąpił, gościowi z chaty byłby sam ustąpił.

Kędyś na drodze spotkał raz pielgrzyma, co wlókł się drogą znużony, cierpiący, z twarzą wybladłą, z brodą po pas długą, z głową spieczoną tak słonecznym żarem, że z łysej czaszki wszystkie włosy spadły, z oczyma w doły wbitemi głęboko, że zdał się ślepcem, idącym o kiju.

— Dokąd to ojcze? — zagadnął przechodnia.

— Do grobu, — tamten odrzekł cichym głosem.

— Jedna nam droga wszystkim od kolebki, — odparł kmieć; — widzę, żeście się strudzili, bo ledwo nogi wleczecie za sobą. Grób nie ucieknie, a chata ma blizko, wstąpcie posilić wynędzniałe ciało i spocząć chwilę po dalekiej drodze.

— Pokutnik jestem z Bożego rozkazu, chodzę po świecie deptać grzechy moje; długiej pielgrzymki kres już niedaleki i łaska nieba



XI.

Pani dobroci pełna i miłości, każdy czyn dobry i każdą zasługę, którą człek bliźnim w Jej imieniu składa, czems lepszem jeszcze nagrodzić mu rada.

Był kmieć niektóry, prosta, jasna dusza, pokorny Bogu, a ludziom oddany, [illegible] oddać pół sukmany, głodnemu chleba od ust nie poskąpił, gościowi z chaty byłby sam ustąpił.

Kędyś na drodze spotkał raz pielgrzyma, co wlókł się drogą znużony, cierpiący, z twarzą wybladłą, z brodą po pas długą, z głową spieczoną tak słonecznym żarem, że z łysej czaszki wszystkie włosy spadły, z oczyma w doły wbitemi głęboko, że zdał się ślepcem, idącym o kiju.

— Dokąd to ojcze? — zagadnął przechodnia.

— Do grobu, — tamten odrzekł cichym głosem.

— Jedna nam droga wszystkim od kolebki, — od[illegible]; widzę, żeście się strudzili, bo ledwo nogi wleczecie za sobą. Grób nie ucieknie, a chata ma blizko, wstąpcie posilić wynędzniałe ciało i spocząć chwilę po dalekiej drodze.

— Pokutnik jestem z Bożego rozkazu, chodzę po świecie deptać grzechy moje; długiej pielgrzymki kres już niedaleki i łaska nieba



Meisenbach Riffarth & Co.

ŚLUBNE WIANKI.

będzie mym udziałem. Bóg zapłać tobie miłosierny człeku, co się mej doli litujesz poczciwie!... Z błogosławieństwem wejdę do twej chaty.

Przyjął gościnę i przy jednym stole podzielił jadło z kmieciem i napitek; wytchnął, wypoczął i pod wieczór dalej iść się zabierał, lecz na odchodnem rzecze:

— Gospodarzu, jam tylko sługa jednej możnej pani, więc sam od siebie wdzięczności nie spłacę; od niej wszelako należny dank złożę, gdy do dom wrócę i powiem o tobie. Więc w jej imieniu zapraszam cię bracie, byś za gościnę pod twym skromnym dachem u nas zagościł jutro, jeśli wola. Ja sam podwodę tu przyszlę po ciebie.

— Gdzież to? — kmieć spyta; tamten rzeknie:

— W niebie.

I dnia drugiego wóz zajechał kuty, w parę bachmatów siwych zaprzężony a mocny taki, że nim w każdą drogę, choćby do nieba, wybrać się bezpiecznie. Woźnica kaptur nasunął na czoło, że nawet oczu widać mu nie było, lejcami strząsnął, a konie z kopyta ruszyły rączo, jakby wiatr je poniósł...

* * *

Jadą i jadą, słońce już wysoko, a o popasie niema ani mowy; lipcowe słonko prażyło z błękitu, żar płynął z nieba, spieka była wielka.

A oto z boku przy drodze staw leżał, niby jezioro leśne w chaszczach, w gąszczu, a na jeziorze — niewidziane dziwo! — lód szklił się w słońcu, lód w lipcową porę...

Na lodzie ludzi jakowychś gromada, w białych sukmanach z ogorzałą twarzą, z wejrzeniem groźnem i ponurem wielce.

Stali przy ogniu roznieconem w koło i lód warzyli w kotłach, niby kaszę.

Kmieć się zadziwił i pyta woźnicy:

— Czary czy cuda, czy to sen, czy złuda?... Gdzieśmy wjechali i w jaką krainę?... Na niebie lipiec a luty na ziemi!... co to za ludzie?... jakby z mojej wioski...

Woźnica na to:

— Chłopy Matki Boskiej.

Kmieć głową kiwa i nic nie rozumie, na dziwy patrzy, a pojąć nie umie; więc znów zagadnie onego w kapturze:

— A cóż ci robią?...

— Robią grad na burzę.

— Cóż to za jedni?...

— Płanetnicy przecie.

— Cóż to za naród?...

— Leją deszcz po świecie, spuszczają grady i holują chmury, co uczepione na niebie za sznury; rzucają gromy na przestrogę ziemi; Najświętsza Panna w górze rządzi niemi i bez Jej woli ani bez Jej wiedzy, grom nie roztrzaska ni wierzby na miedzy.

Dziwił się bardzo kmieć temu ludowi, lecz pojechali prostą drogą dalej...

* * *

Za lasem patrzy, a tu nowe dziwa; przy drodze bagno, a w bagnie po szyję, niby ropucha — niewiasta się wije; to się podźwignie, to znów w błocie tonie i do przejezdnych wyciąga swe dłonie.

— Przystańcie jeno — woła kmieć, — toż trzeba chrześciańską duszę ratować w pośpiechu!...

— Daj pokój człeku — słyszy w odpowiedzi, — to grzeszna dusza, cierpi z woli nieba, bo za żywota tonęła tak w grzechu; niech teraz w bagnie za pokutę siedzi. Ze swojej studni żałowała wody spragnionym bliźnim w spiekę dla ochłody.

I pojechali prostą drogą dalej...

Kmieć patrzy znowu, a tu z jednej strony ściele się paszy pysznej łan zielony, a z drugiej piaski, krzemienie i gruda; na tej się pasie owiec trzoda tłusta, choć pod nią ziemia jałowa i pusta.

zaś w tamtej żyznej brodzi trzódka chuda i nienasytnie skubie bez pożytku paszę, co w koło porasta do zbytku.

— A toż co znowu? — kmieć zdziwiony woła — te tyją z piasku, a tamte chudzięta, choć je obficie karmi ziemia święta?...

— Nie dziw się Bożym wyrokom człowiecze, — poważnym głosem woźnica odrzecze, — te chude owce i nienasycone, to dusze ludzkie tu głodem trapione za to, że w życiu nie chciały znać miary i jak najwięcej pragnęły zachłannie, — więc za to teraz głodne nieustannie.

A owe tłuste, co na piaskach żyją, skubną źdźbło trawy i od niego tyją, bo za żywota na marnem przestały, nie pragnąc więcej ponad to, co miały. Umiarkowanie Pan Bóg wynagrodzi!...

Kmieć się zadumał i jechali dalej...

Nagle na drodze wóz spłoszył dwa woły, co się rogami bodły tak zażarcie, że krew czerwona płynęła z nich strugą.

Woźnica ręką wskazał je kmieciowi i rzekł:

— To, widzisz, były dwa sąsiady, co wciąż za życia w kłótni i niezgodzie, wiodły ze sobą procesa i zwady o skrawek roli, o marną piędź ziemi, więc teraz jeden wciąż drugiego bodzie, a czart im rogi ostrzy kłami swemi.

* * *

I tak po drodze spotykali ciągle dziwne przygody i dziwne postacie, samych dusz grzesznych smutne widowisko, aż dojechali już pod niebo blizko na kwietną łąkę pełną cudnej woni, po której skromna, cicha pani biała, chodziła z pękiem polnych kwiatów w dłoni i niezabudki nad strumykiem rwała.

A cudną była, jak zorza przedświtu, a jasna taka, jak z blasku księżyca, a święta dobroć świeciła jej z lica, że aż się oczy tuliły z zachwytu...

Kmieć już nie pytał, co zacz ta Przeczysta, bo sercem odgadł, że to Matka Chrysta.

Padł na kolana i w piersi się walił i oczy zamknął przed widzeniem świętem i głowę skłonił, jak przed Sakramentem, i jęknął z głębi zachwyconej duszy, jakby w kościele podczas Podniesienia i nie śmiał więcej oczu zwrócić na Nią, szepcząc:

— Niegodnym spojrzeć na tę Panią!...

Tak przejechali mimo, a za nimi płynęła z łąki woń i pieśń. Śpiewała Najświętsza Panna nabożną litanię, zrywając kwiaty błyszczące na błoniu: złotą dziewannę, która wdzięki daje, pełne koszyczki, w których szczęście leży i polne lilie, co czystości godłem.

* * *

A kmieć dojechał na tym prostym wozie przed samą bramę Bożego pałacu, gdzie go pokutnik znajomy już czekał i wraz w wspaniałe podwoje prowadził.

Chrystus prostaczka powitał łaskawie, zrobił mu miejsce na swej złotej ławie, przy stole swoim, jak gościa posadził i podejmował, jako dziedzic ziemi.

Potem w komnatę z samych gwiazd srebrzystych, weszła Maryja z dziewicami swemi, ze świtą cudnych aniołów w orszaku, a sam Bóg Ojciec wiódł ją uroczyście.

Kmieć dech zapierał i patrzał, i słuchał, i nie śmiał głosu ze siebie wydobyć, i sam nie wiedział już, co z sobą robić, w takiem dostojnem towarzystwie bawiąc i bał się tylko, by nie wybuchł płaczem.

I patrzał, jakby zemknąć stąd cichaczem.

Bóg Ojciec okno otworzył w komnacie, wyjrzał, przeżegnał świat na wszystkie strony i spytał kmiecia:

— Urodzaje macie? — a ten tą łaską pańską ośmielony, odrzekł przytomnie dziedzicowi nieba:

— Dziękować Bogu, obrodziło chleba.

— Więc go w miłości spożyjcie i zgodzie! — rzekł mu Bóg Ojciec i westchnął głęboko.

Kmieć się do kolan pochylił z podzięką, a Bóg krzyż nad nim zrobił świętą ręką i dał znak, aby posłuchanie skrócić; Maryja Panna łaskawa dla ludu, spytała kmiecia, czyby nie chciał czego, jakowej łaski lub jakiego cudu, a on Jej na to:

— Chcę do swoich wrócić!...

Więc go kazali odwieźć znów na ziemię, aby żądanie miał swoje spełnione; wrócił i chodził po świecie szczęśliwy, rozpamiętując te niebieskie dziwy, aż go spotkała raz śmierć zadyszana i widząc, że się swoją miedzą wlecze, woła:

— A gdzieżeś ty się skrywał człecze?... toż ja cię szukam sto lat już bez mała!

I wreszcie kmiecia, jak swego zabrała.

XII.

Różnie się w życiu dola układa; jednemu w niebie dają gościnę, a drugi w piekło na służbę idzie.

Był w jednej wiosce parobczak młody, zuch, jakich mało, chwat, co się zowie, jeno mu szczęścia brakło kruszyny, aby ten żywot osłodzić nieco.

Wszystko mu jakoś w życiu szło krzywo i bieda gniotła i dola żarła; matkę miał srogą, przykrą, swarliwą, ale i ona chłopcu umarła i za cmentarne odeszła wrota.

Chłopak bez matki został — sierota.

Poszedł w świat tedy, by służby szukać i mieć za pracę własny kęs chleba.

Wybrał się polem, wybrał się lasem, zaszedł na wieczór w straszne wertepy, przy których piekło było tuż blizko.

Na niebie księżyc świecił, jak ślepy, zezem zerkając na uroczysko, gdzie siedział dyabeł w własnej osobie.

Zły parobczaka zatrzymał w drodze i gadu — gadu o tem i owem, aż go na końcu zagadnie słowem, czyby nie przyjął służby u niego?...

Chłopak się nie bał dyabła samego, więc mówi:

— Dobrze; roboty nie mam, spróbuję kwartał; może wytrzymam.

Miał z lasu wozić brzozy na miotły, któremi czarci smagają dusze i drwa na opał pod one kotły, w których się sami grzesznicy prażą.

— Niech będzie zgoda, — zrobię, co każą, — rzekł i parobkiem był odtąd w piekle.

Woził drwa, woził i składał na kupy, lecz go ciekawość wielka ciągle gniotła zaglądnąć kiedy do takiego kotła.

Zajrzał i widzi miast grzesznych dusz — krupy.

Rozumiał bowiem, że to kasza była dla podłych czartów na codzienną strawę, kiedy usłyszał nagle głos...

Przy wozie jego schwacona szkapa przemówiła:

— Nie daj się chłopie pozorem uwodzić!... to grzeszne dusze, co w piekielnej męce tak się skurczyły, jako prosa ziarno; westchnij ty lepiej, pomódl się Panience, aby im dolę odmieniła marną i wyzwoliła z tych opałów czarcich!...

Przeszły mu ciarki ze strachu po grzbiecie, wstyd mu się zrobił i wielki żal razem, że chrześcijański człek, nie pogan przecie, pomaga dyabłom męczyć bliźnich w piekle.

Więc się tą myślą zafrasował wielce; na osmołonej usiadł sobie belce i nuż rozważać, i nuż kalkulować chłopskim rozumem, co by tu zmalować czartom za sztukę i figla im spłatać?...

Wreszcie wynalazł; rozdział się co duchu, — bo nawet w piekle chodził chłop w kożuchu, — zanurzył kożuch, krup nabrał na włosy i tak nie tracąc nadaremnie czasu, jak myś kosmato wybrał się do lasu, niby jak codzień po opał i miotły.

Kontent, że tak się gracko w piekle sprawił, wóz razem z szkapą w gęstwinie zostawił, a sam z duszami na ramieniu czmychnął.

* * *

Gdy już daleko uszedł kawał drogi, ujrzał zielone przed czyśćcem rozłogi i w tej dolinie, że się bardzo strudził — legł, by wypocząć i umocnić siły, bo mu te dusze dobrze zaciążyły.

Usnął i rankiem dopiero się zbudził.

Patrzy, a przy nim białych owiec stado, a takie liczne, że po całej łące pasą się w koło ogromną gromadą, srebrzystem runem na słońcu błyszczące. Pośród owieczek zoczył Pannę Świętą, promieniejącą, jasną, uśmiechniętą, która do niego temi słowy rzekła:

— Dziękuję tobie kmiotku mój poczciwy, żeś mi duszyczki te wyzwolił z piekła, lecz nim pokuty ich termin przeminie, musisz je jeszcze pasać w tej dolinie i dbać, by żadna nie wpadła znów w szkodę. Za to dostaniesz baranka w nagrodę, — wśród białych owiec tego z czarną wełną; z niego mieć będziesz złota zawsze pełno. Ja tu po czasie do ciebie się zgłoszę; paś me owieczki, a dbaj o nie — proszę!...

I tak pasterzem został Matki Boskiej; żywot miał dobry, spokojny, bez troski, stado swe codzień po pastwisku wodził, a czarny baran przy nodze mu chodził.

Wreszcie gdy termin pokuty upłynął, Najświętsza zeszła znowu na dolinę i przeliczyła białych owiec stado i wzięła z sobą wszystkie wraz do raju, tylko baranek przy pasterzu został.

— Będziesz go codzień za pokutę chłostał, — uczyła Panna swojego pasterza, — a gdzie uderzysz prętem w czarne runo, z pod wełny złote grosze się wysuną i sypać będzie pieniądz ta skarbonka od wschodu słonka do zachodu słonka.

* * *

Chłopu aż oczy skrami zaświeciły; więc nie żałował ni ręki, ni siły, pewny, że źródło bogactwa posiadał, — kijem barana raz po raz okładał.

Pieniądz bez pracy zwykł człowieka psować, bo zbytek wszelki rozzuchwala ludzi, kto się dla grosza w znoju nie utrudzi, ten nie potrafi grosza uszanować.

Nie znając miary, tak się rozpanoszył, tak się rozhulał i tak



GROMNICZNA.

Usnął i rankiem dopiero się zbudził.

Patrzy, a przy nim białych owiec stado, a takie liczne, że po całej łące pasą się w koło ogromną gromadą, srebrzystem runem na słońcu błyszczące. Pośród owieczek zoczył Pannę Świętą, promieniejącą, jasną, uśmiechniętą, która do niego temi słowy rzekła:

— Dziękuję tobie kmiotku mój poczciwy, żeś mi duszyczki te wyzwolił z piekła, lecz nim pokuty ich termin przeminie, musisz je jeszcze pasać w tej dolinie i dbać, by żadna nie wpadła znów w szkodę. Za to dostaniesz baranka w nagrodę, — wśród białych owiec tego z czarną wełną; z niego mieć będziesz złota zawsze pełno. Ja tu po czasie do ciebie się zgłoszę; paś me owieczki, a dbaj o nie — proszę!...

I tak pasterzem został Matki Boskiej; żywot miał dobry, spokojny, bez troski, stado swe codzień po pastwisku wodził, a czarny baran przy nodze mu chodził.

Wreszcie gdy termin pokuty upłynął, Najświętsza zeszła znowu na dolinę i przeliczyła białych owiec stado i wzięła z sobą wszystkie wraz do raju, tylko baranek przy pasterzu został.

— Będziesz go codzień za pokutę chłostał, — uczyła Panna swojego pasterza, — a gdzie uderzysz prętem w czarne runo, z pod wełny złote grosze się wysuną i sypać będzie pieniądz ta skarbonka od wschodu słonka do zachodu słonka.

Chłopu aż oczy skrami zaświeciły; więc nie żałował ni ręki ni siły, pewny, że źródło bogactwa posiadał — kijem barana raz po raz okładał.

Pieniądz bez pracy zwykł człowieka psuć, bo zbytek wszelki rozzuchwala ludzi, kto się dla grosza w znoju nie utrudzi, ten nie potrafi grosza uszanować.

Nie znając miary, tak się rozpanoszył, tak się rozhulał i tak



mal P Stachiewicz

Meisenbach Riffarth & Co

GROMNICZNA.

marnotrawił, jeno ucztował i jeno się bawił, że pełną garścią swoje złoto szastał, a jako grzybem grzechami porastał.

Lecz bity baran coraz bardziej bielał, a coraz skąpiej pieniędzy udzielał i na zły koniec przyszło marnotrawcy; nie miał już z czego żyć i z czego użyć, więc się wybierał znów u ludzi służyć i chciał baranka zbielałego sprzedać.

Wtedy to znowu przyszła po raz drugi Najświętsza Panna do swojego sługi i z twarzą smutną mówiła doń długo, że był niegodnym i niewdzięcznym sługą, że łask niepomny zawiódł Ją i zdradził, bo lichy żywot w bogactwie prowadził.

Baranka, co był duszą wybawioną, wzięła łaskawie do siebie na łono, a chłop do czyśca musiał póiść za karę, że dbając tylko o cielesne dobro, w ziemskich marnościach łatwo przebrał miarę.



XIII.

Nie tylko ludzie, lecz wszystko, co żywie w Maryji Panny zostaje opiece; ona się światem troszczy dobrotliwie, muszką w powietrzu, drobną rybką w rzece, ptaszyną małą z pisklęty drobnemi, nawet robakiem, co wypełza z ziemi na Zwiastowanie, gdy się zbudzi wiosna; bo Ona świata jest Matka litosna!...

Dobytek ludzki ochrania od szkody i nawet wilki z żarłoczną paszczeką, w zimowe noce od wiejskiej zagrody odgania sama opiekuńczą ręką.

Święty Mikołaj, co je w ryzach trzyma, gdy spadną śniegi i nadejdzie zima, ich dziką hordę na części rozbija, aby za Jego wyłącznym nakazem na ludzkie dobro nie spadały razem; więc mają sobie działy wyznaczone i każdy idzie tylko w swoją stronę, gdzie mu wyznaczył Święty legowisko, od ludzi zdala, od siebie nie blizko.

A na Gromniczną, gdy się z kniei zwlóczą i jak rabusie po polach rozłażą, za łupem węszą, a złowrogo mruczą i między sobą na śniegu się swarzą i głodnym zębem kłapią i dokoła robią wyprawę na uśpione sioła, Panienka Święta staje im na drodze z gro-

mnicą w ręku, wśród tumanów śniegu i wilcze stada zatrzymuje w biegu.

I tak na straży cichej wioski stoi, więc napaść przed nią cofa się i boi, i nie śmie naprzód iść, gdy światło zoczy...

Gdy wystraszone stado się rozskoczy, to w jaką stronę cofnie się wilczysko, w tę już umykać musi przed gromnicą; zielone ślepia wściekłością mu świecą, ale łeb zwiesza i wyciąga szyję, jak pies skulony chyłkiem w śniegu brodzi i w ciemne lasy spłoszony uchodzi.

Gdy w noc miesięczną wilki w polach wyją, ludzie się ze snu budzą z wielkim strachem i słychać szepty pod słomianym dachem:

— »W swoją obronę weźmij nas Maryjo!...«

I znów zasypia z tą ufnością wioska, że w śniegach nad nią czuwa Matka Boska...

*

* *

Na Mikołaja ani na Gromniczną, kiedy się wilki snują zgrają liczną, nie dobrze motać przędzy gospodyniom, bo łatwo jeszcze — uchowaj to Boże! — w nici wilczysko zaplątać się może i będzie potem trzymał się zagrody i przez rok cały w niej wyrządzał szkody.

Na Zwiastowanie, gdy już lód popęka i śniegi spłyną daleko do morza, młoda do ziemi śmieje się wiosenka i wstaje hoża z dziewiczego łoża i skronie sobie wieńczy w kwiaty świeże, niby dziewczyna wiejska przy niedzieli; wtedy w kwietniowy, pogodny poranek, z zimowych schowków, z cichych wód topieli wylata w górę — hen! jaskółczy wianek, z radosnym leci nad pola świegotem gniazda swe klecić pod gościnną strzechą, a wiosna wita je zieloną wiechą, one zaś kręgi zataczając duże, ćwierkają ludziom: — »Witamy z powrotem!...«

Dawno już temu, wiele wieków, wiele, Tatarzyn miasta pustoszył i sioła, w jasyr brał jeńce, śmierć szerzył dokoła, nawałą spadał na wsie, chorodyszcza, a kędy przeszedł — ruiny i zgliszcza.

Razu pewnego z jakiejś wioski cichej horda porwała dziewkę urodziwą i wlokła z sobą, jako łup z wyprawy; płonęły strzechy, a po polach trupy pomordowanych ofiar pozostały; wlókł się po ziemi nocą opar biały i rosły w niebo czarnych dymów słupy...

Dziewkę Tatarzy pognali w obczyznę.

I tam w jasyrze od swoich daleko, słone łzy lała na sercową bliznę, — słonych łez źródło miała pod powieką. Po nocach całych w niebo modły słała do Maryi Panny z prośbą o pociechę, by wrócić mogła pod rodzinną strzechę i ojców swoich zobaczyć przed zgonem, głowę przed nimi pochylić z pokłonem i u ich kolan choćby paść bez ducha.

Kiedy tak tęskni i wzdycha, i płacze: »Wiosko ty moja, kiedyż cię zobaczę!...« gdy dniem żałosnym i żałosną nocą prosi Maryji, by szła jej z pomocą, gdy jej tęsknota tak spaliła duszę, że wyschła, jako trawa w letnią suszę, Pan Jezus Matce Swojej czyniąc gwoli, dał zmiłowanie dziewce w jej niedoli i w ptaszka zmienił dziewczynę stęsknioną, by na rodziny pofrunęła łono.

I dziewczę chmurne rozjaśniło czółko, bo poleciało w swe strony — jaskółką...

Pod swoją strzechą gniazdo ulepiło i całe lato z rodzicami było, a starzy nawet nie wiedzieli o tem, że mają córkę przy sobie z powrotem i że to ona w gniazdeczku maleńkiem ćwierka tak do nich codzień nad okienkiem.

* * *

W chacie z przybyciem wędrownej jaskółki, jakby się szczęście wraz z nią zagnieździło, przyrósł dobytek, zapasów przybyło, i pełne skrzynie, pełne były półki i drugi spichlerz rodzic jej wystawił, bo przy jaskółce Pan Bóg błogosławił.

Więc ludzie na wsi, widząc takie dziwo, poczęli Boga prosić najgoręcej, aby im przysłał takich ptasząt więcej, co wnoszą z sobą dolę tak szczęśliwą i Bóg wysłuchał za Maryji radą; przysłał na

wiosnę ptaszął całe stado i odtąd w siołach i miastach wokoło pełno jaskółek fruwa dziś wesoło.

A owa pierwsza branka uskrzydlona pod ojców strzechą przepędzała lato, lecz na jesieni Bóg jej kazał za to powracać w jasyr znów drogą powietrzną, ażeby była i tam użyteczną, kędy cierpiała i kędy służyła.





XIV.

Gdy pierwszy rodzic dziką kopał ziemię i znoił nad nią czoło w ciężkiej pracy, smutno mu było... Smutno z myślą w duszy o utraconym raju i o grzechu.

Ziemia mu była niechętną i twardą; słońce na niego patrzało z ukosa i zachmurzone wisiały niebiosa nad jego głową i w głuchej pustyni nikt się do niego nie odzywał wcale.

Zwierz go unikał nawet w leśnej głuszy.

Kto raj utracił — piekło nosi w duszy...

Raz do oracza na jałowej ziemi zeszedł Bóg jego przyglądnąć się pracy, — a Adam dumał z oczyma smutnemi i w ziemię patrzał, jak w niemego wroga, że w zamyśleniu nie dostrzegł był Boga.

Stwórca zaś przed nim stanął i zapytał:

— I jakże ci się powodzi, Adamie?... — a on się ocknął i odrzekł:

— Źle, panie; ciężko mi dźwigać Twoją karę srogą, nie mam przy pracy nad sobą nikogo!...

I westchnął przy tem żałośnie, głęboko, że miłosierny Bóg nań zwrócił oko; wziął grudkę ziemi, śmignął nią do góry, a z grudki ptaszek wzleciał szaropióry i zatrzepotał skrzydełkami w górze i zaczął śpiewać nad Adama głową.

I odtąd w każdy pracowity dzionek, witał go piosnką wesołą skowronek i latał nad nim, pod niebo się wspinał i miłosierdzie Boże przypominał; więc się już Adam tak nie smucił więcej, bo miał otuchę w piosence ptaszęcej.

A szare ptaszę Bożą służką było i ziemi pieśni o niebie nuciło...

*

* *

Zaś kiedy Jezus Pan chodził po świecie i prawdy uczył ludzi w Nazarecie i swą naukę Zbawicielską głosił, skowronek Matce stęsknionej od Syna codzienne wieści do chaty przynosił, by spokój miała Jej dusza matczyna.

Kiedy samotna płakała w swym smutku, on Ją piosenką pocieszał w ogródku i przed Chrystusa do domu powrotem co tchu przylatał, by oznajmić o tem, że nauczania dziś skończona praca i ćwierkał:

— Pani, łzy otrzyj, — syn wraca!...

A na Golgocie, gdy świat struchlał cały, że Bóg na krzyżu kona umęczony, do świętej skroni wzniósł się ptaszek mały, by odjąć kolec z cierniowej korony i chociaż tyle ulżyć Pańskiej męce, aby krwi kroplę mniej Chrystus uronił.

Wzleciał nad krzyżem i krążył w błękicie i smutną piosnkę nad Golgotą dzwonił, że Bóg za ludzkość oddał swoje życie...

Płakało ptaszę nad Chrystusa głową, że dźwigać musi koronę

cierniową i że za prawdy tryumf — ludzkie dłonie kolcami Jego uwieńczyły skronie.

* * *

Boga-Rodzica, maluczkich Patronka, wzięła do nieba świadka swojej troski.

U stóp Jej tronu miejsce dla skowronka i jest śpiewakiem odtąd Matki Boskiej.

Ona swojego wiernego pieśniarza trzyma w opiece i łaską obdarza, a kto ptaszynie Jej krzywdę wyrządzi, tego Bóg karze i surowo sądzi.

Sama Przeczysta jego gniazda strzeże, i od napaści własną chroni dłonią, pod swój błękitny płaszcz skowronka bierze, pod płaszcz gwiazdami świecący jasnemi i gniazdko jego nakrywa przy ziemi — a wroga, co Jej ptaszynę zaczepia, razi światłością i blaskiem oślepia.

Przy tronie Panny co wieczór i rano na »Anioł Pański« ptaszę pieśni śpiewa, a chociaż dzwony ziemskie bić przestaną, on w swoją piosnkę całą duszę wlewa i w tym śpiewaczym tak tonie zachwycie, jak gdyby pieśnią tylko było życie.

A Matka Boska z zadumą na twarzy słucha śpiewaka swojego i marzy...

* * *

Śpiewaj ptaszyno, śpiewaj Jej o ziemi, którą do pracy budzisz tony swemi i o oraczach, co w tę rolę czarną, w znoju i trudzie zasiewają ziarno, serdecznym głosem nucąc pieśń poranną:

— Błogosławionaś Maryjo Panno!...



cierniową i że za prawdy tryumf — ludzkie dłonie kolcami Jego uwieńczyły skronie.

* *

Boga-Rodzica, maluczkich Patronka, wzięła do nieba świadka swojej troski.

U stóp Jej tronu miejsce dla skowronka i jest śpiewakiem odtąd Matki Boskiej.

Ona swojego wiernego pieśniarza trzyma w opiece i łaską obdarza, a kto ptaszynie Jej krzywdę wyrządzi, tego Bóg karze i surowo sądzi.

Sama Przeczysta jego gniazda strzeże, i od napaści własną chroni dłonią, pod swój błękitny płaszcz skowronka bierze, pod płaszcz gwiazdami świecący jasnemi i gniazdko jego nakrywa przy ziemi — a wroga, co Jej ptaszynę zaczepia, razi światłością i blaskiem oślepia.

Przy tronie Panny co wieczór i rano na »Anioł Pański« ptasze pieśni śpiewa, a chociaż dzwony ziemskie bić przestaną, ale w swoją piosnkę całą duszę wlewa i w tym śpiewaczym tak tonie zachwycie, jak gdyby pieśnią tylko było życie.

A Matka Boska z zadumą na twarzy słucha śpiewaka swojego i marzy...

* *

Śpiewaj ptaszyno, śpiewaj Jej o ziemi, którą do pracy budzisz tony swemi i o oraczach, co w tę rolę czarną, w znoju i trudzie zasiewają ziarno, serdecznym głosem nucąc pieśń poranną.

— Błogosławionaś Maryjo Panno!





mal. P. Stachiewicz

Meisenbach Riffarth & Co.

ŚPIEWAK MATKI BOSKIEJ.

TREŚĆ I ŹRÓDŁA.

TREŚĆ.

WSTĘP.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

»NA ZIEMI«.

CZĘŚĆ DRUGA.

»W NIEBIE«.

CZĘŚĆ TRZECIA.

»Z NIEBA«.

ILLUSTRACYE.

WAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA,

z których materyał do tej pracy czerpano:

»Zbiór Wiadomości Do Antropologii Krajowej«. Tomy od 1-go do 19-go.

Kolberg Oskar: Lud, Jego Zwyczaje i t. d. Tomy od 1-go do 18-go.

Nowosielski Antoni: Lud Ukraiński. Wilno, 1857.

Pruski: Obchody Weselne. Kraków, 1869.

Chełchowski Stanisław: Pieśni i Opowiadania Ludowe. (Biblioteka »Wisły«). Warszawa, 1889.

Rozprawy Akademii Krakowskiej Wydziału Filologicznego.

Kozłowski Kornel: Lud, Pieśni, Podania, Baśni, Zwyczaje i Przesądy Ludu Mazowsza Czerskiego. Warszawa, 1867.

Siemieński Lucyan: Podania i Legendy.

Wójcicki K. W.: Pieśni.

Zamarski: Podania i Baśnie.

Konopka: Pieśni.

Wasilewski: Jagodne.

Wisła.

Ulanowska: Symbolika.

Rybowski: Jaskółka.

» Skowronek.

Federowski Michał: Lud, Okolice Żarek, Siewierza i Pilicy. Warszawa, 1888.

Wodzicki Kazimierz: Zapiski Ornitologiczne.

Wacław z Oleska: Pieśni.

Toeppen: Aberglauben aus Masuren. 1867.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA W WARSZAWIE. — DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SP., POD ZARZ. J. GADOWSKIEGO W KRAKOWIE.